

Dekada Literacka

Kraków ■ 16 XII — 31 XII 1991 r. ■ Dwutygodnik ■ Nr 36 ■ Cena 2000 zł

- Proza Terleckiego ● Ogden Nash w przekładach Barańczaka ●
- Rozmowa z Miriam Akavią ● Prokop o uniwersytecie ●
- Szaruga o książce Jana Walca ●

Mała fenomenologia autorytetu

Władysław Stróżewski

Co to jest autorytet? Zaczniemy od kilku uwag natury filozoficznej: co znaczy słowo „autorytet”? Sprawa nie jest prosta, jeśli wziąć pod uwagę jego znaczenia, występujące w różnych językach. Bo choć jego źródłem wszędzie jest łacińskie auctoritas, pochodzące od słowa auctor, co znaczy (między innymi, słowo to jest bowiem bogate znaczeniowo) pomnożyciel, twórca, doradca, autor, to jednak nie wszędzie ten sam sens wybija się na plan pierwszy.

Wedle słynnego słownika Webstera (*Webster's New Collegiate Dictionary*), pierwszym znaczeniem „autorytetu” jest cytat użyty dla wzmocnienia argumentacji lub obrony, dalej — źródło tego cytatu, następnie siła wpływająca na sąd czy opinię, na trzecim miejscu dopiero osoba mająca prawo wydawania obowiązujących opinii lub rozkazów, przy czym jest to wyraźnie ograniczone do opinii urzędowych. Słowniki francuskie na pierwszy plan wysuwają *władzę, prawo, urząd, moc prawną* (np. *władza ojcowska — autorité paternelle, moc prawa — autorité de la loi*), w dalszym znaczeniu dopiero *autorité* oznacza autorytet w sensie powagi, przysługującej jakiemuś człowiekowi. Znaczenie wyraźnie personalistyczne ma natomiast *Autorität* w języku niemieckim: tu słowo to oznacza w pierwszym rzędzie powagę umysłową lub moralną, znakomitość w jakiejś dziedzinie wiedzy czy działalności.

W podobnym sensie używamy słowa *autorytet* w języku polskim. Precyzując nasze pytanie możemy więc bez obawy przeformułować jego podmiot i pytać nie o to, co, lecz kto jest autorytetem, i jakie warunki muszą być wzięte pod uwagę, by na to pytanie uzyskać odpowiedź właściwą.

Autorytet jest zjawiskiem o charakterze społecznym

Być autorytetem, to być za autorytetem **u z n a n y m**. Być uznanym — to znaczy być kimś, z czym zdaniem czy postępowaniem ktoś inny się liczy. Autorytetem można więc być wyłącznie dla kogoś innego niż podmiot, który autorytet posiada. Można oczywiście twierdzić, że jest się autorytetem dla samego siebie,

w ten sposób jednak wyraża się albo myśl trywialną, albo samolubne przeświadczenie o swej wyższości nad innymi, prowadzące z konieczności do mizantropii i samoizolacji: „*Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem...*”

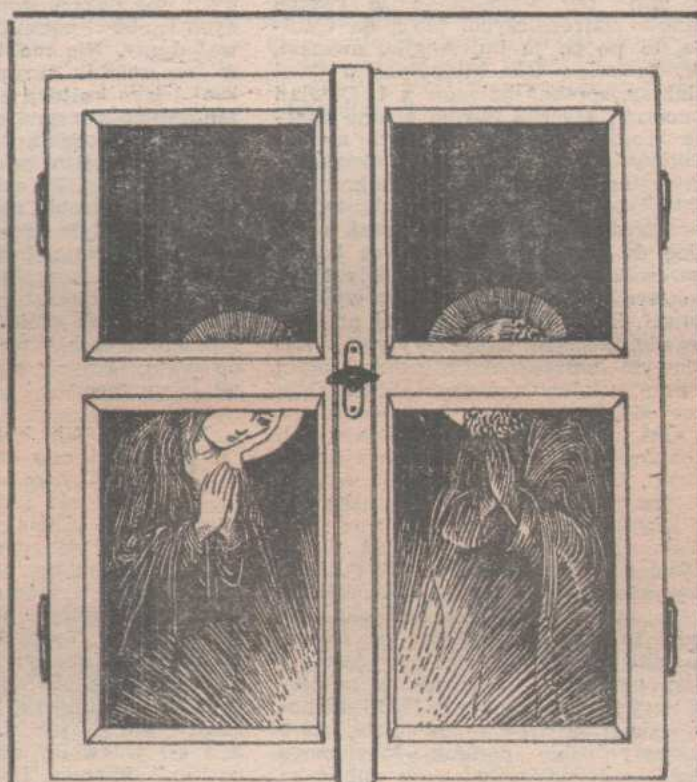
Uznanie musi być oparte na obiektywnych podstawach. Nie można bezpośrednio stworzyć autorytetu, nie można arbitralnie powołać go do istnienia. Na autorytet trzeba zasłużyć. Znaczący to, że podmiot autorytetu musi odznaczać się obiektywnymi cechami, które urzeczywistniają się w nim w stopniu nieprzeciętnym i które sprawiają, że jest on na przykład wybitnym specjalistą w dziedzinie jakiejś nauki, znakomitym artystą lub świetnym praktykiem na polu takiej czy innej działalności. Co więcej, cechy te muszą być doprowadzone do szczególnego *optimum* i stać się wzorcem, którego naśladowanie gwarantuje osiągnięcie określonych wartości. Wypada jednak raz jeszcze podkreślić, że — z drugiej strony — bez społecznego uznania stanie się autorytetem jest niemożliwe: jeśli wspomniane cechy nie zostaną dostrzeżone i nie spotkają się z odpowiednim rezonansem, autorytet po prostu się nie pojawi.

Jeśli autorytetu nie można arbitralnie stworzyć drogą społecznego uznania, tym bardziej nie można tego dokonać poprzez dążenie indywidualne. Nie ma nic bardziej żenującego niż próby autokreacji autorytetu.

Z autorytetem dzieje się podobnie jak ze szczęściem: najtrudniej przychodzi je osiągnąć tym, którzy najbardziej o nie zabiegają

Autorytet buduje się nie wprost, lecz jako rezultat całego szeregu czynników, których spełnianie ma niewiele wspólnego z jego ideą. Ta realizuje się na końcu drogi, najczęściej nieoczekiwanie dla tego, który staje się jej wybrańcem. Kto wie zresztą, czy prawdziwymi autorytetami nie stają się ci właśnie, którzy najmniej o tym myślą i najmniej tego pragną.

Autorytet nie utożsamia się wszakże z byciem specjalistą. Wymaga on, aby zaawansowane, wiedza, umiejętność współkonstituowały o s o b o w o ś ć „nosiciela” autorytetu. Ta nie wynika zaś z jakiegokolwiek „fachowości”, lecz konstituowana jest



RYŚ. ALEKSANDER PIĘNIĘK

Krzysztof Lisowski

Przed Wigilią

Mędzy dwa pomarańczowe drzewka wjeżdża właśnie osiołek z Maryją i Jezusem. Święty Józef wypatruje drogi. Pasą się jedwabście sarna i owleczka. Zając przysiadł na łapkach, przygląda się Bożemu Synkowi. Nad drzewkami, nad ziołami ziemskiego ogrodu polatuje ptak biały — gołębia.

I tym razem chcemy się odnaleźć na grudniowym słonecznym obrazie. Ale tu ból głowy, grypa, drożdżka, chyboliwe światło zaokiennej lampy, troska o dzieci zamazuje widok. Córeczka nie może zasnąć — ojciec zabił dwa wesole karpie i teraz myje ręce z krwi.

Teraz spójrz na miniaturę uważniej: Jezus głodny, a Maryja smutna kiwa się półśmiejąc nad dzieckiem.

Józef zranił nogę o kamień, ciągnie uzdę i strofuje osła, nasłuchuje głosów pogoni, do obrony ma siwiznę i laskę. Zobacz ile lęku między tymi drobnymi kwiatkami, jak ta trójka chce dla nas ocaleć.

SZEPTEM Z TORONTO (3)

Wacław Iwaniuk

A jednak ten zjazd w Warszawie był dla mnie dużym przeżyciem. Wewnętrzne przesilenie nastąpiło dopiero tam, w stolicy. Odklepałem Toronto, zaklepałem Warszawę i to od jej najlepszej strony, bo ulicy Dobrej, przy której kiedyś mieszkałem.

Ostatnio mało podróżuję, ot, krótki wypad na Florydę, do znajomych w Kalifornii lub na Hawaje. Ale tam też zagnieździł się już Japończyk. Ten mrówczy naród uprzemysłowi wkrótce cały świat.

Odkąd de Gaulle, stojąc na wolnej kanadyjskiej ziemi, krzyknął „Niech żyje wolny Quebec” i odebrał Kanadyjczykom bezwizowy wjazd do Francji, kraj ten wymazałem ze swoich planów podróży. Mają de Gaulle'a, to po co ja im. Anglia, owszem, tak, bo mogę tam otrzeć się o tytuł księżcy, spotkać kolegów z 1. Dywizji Pancerniej Maczka, wypić z nimi zdrowie Wodza, w pełnej polskiej memorabiliów rezydencji pani Kossowskiej, czujnej na każdy odruch i przejaw polskości, będąc na śniadaniu u byłego Prezydenta Naszej Najjaśniejszej, a gdy zajdę do Ogniska, to wiem, że będzie tam czekał na mnie niezrównany autor i piewca papieskich podróży, wybitny stylistą, który talent poświęcił polskiej sprawie, naszym emigracyjnym i narodowym bojątkom, gdy inni krążą uparcie wokół własnego ja. W Ognisku unosi się jeszcze duch Łobodowskiego, bo nikt tak nie reagował na krajowych Urbanów i Bierutów, jak nasz Łobodowski. Czasem był Skargą, a czasem drugoczącym, ognistym polemistą — ale zawsze sobą.

Tak, do Europy nie ma już po co jeździć. Ale Toronto, co zrobić z tym rumowiskiem granitu, cegły, żelazobetonu i cementu? Na pierwszy rzut oka wygląda to pokaźnie. Ulice są czyste, trawniki zielone, kwiaty, gdy jest ich sezon, pyszną się kolorami w misternie usypanych klombach. Ptaki zachowują się poprawnie, prócz gołębi, które upatrzyły sobie pomnik Nieznanego Żołnierza i zamieniły go w publiczną ubikację. Choć gołębie tutejsze są piękne, wdzięcznie się poruszają, zwłaszcza w porze wiosennej, gdy nadchodzi czas zakładania rodzinnych gniazd.

Pomnik, miejsce pielgrzymki kombatanów w okresie listopadowych uroczystości, do Nieznanego Bohatera wszystkich wojen, jest prawdziwą ozdobą miasta. Nadmiar kwiatów uwypukla nasze przywiązanie do historii, zwłaszcza tej, pełnej wojennych czynów. Tu

zabiegany torontończyk może nagle przystanąć, wytrącony z codziennej rzeczywistości. A tego torontończyka nie lubią, bo myślenie odbiera im chęć do pracy i jej owoców.

Samo miasto rośnie jak na drożdżach. Drapacze chmur wspinają się ku niebu, instytucje publiczne potężnieją, panie noszą coraz piękniejsze suknie sprowadzone z Paryża, mlókosci, dzieci zamożnych rodziców, chodzą w coraz bardziej dziurawych jeansach, brodaci, rozczochrani, podobni do jaskiniowców, jeżdżą w luksusowych samochodach, na znak, że nie pochodzą z plebsu, choć prawdziwego plebsu tu jeszcze nie ma, ale są masy nie douczonych, nie dokształconych, szowinistycznych snobów, pęczniących od narodowej dumy. Nie ma też mieszczaństwa, w rozumieniu europejskim, bo ludzie, kraj i jego kultura jeszcze na dorobku. Emigranci zaczynają dorabiać się i opuszczać „rodzinne” getta. Polacy też, choć samo getto istnieje z niedobitkami ze „starej Polonii”. Dalej pracują ciężko, by zarobić na paczki dla rodziny, która ciągle prosi o więcej. Są tacy, co wysyłają fortepiany, odejmują sobie od ust, nie stać ich na wakacje, w pracy wykorzystują godziny nadliczbowe, wreszcie umierają przedwcześnie z przepracowania, ale fortepian poszedł do kraju. Okazuje się potem, że w niewłaściwe ręce.

Toronto. Nie kocham tego miasta, jest mi ono obojętne, ale nie z jego winy znalazłem się tu. Moja lekkomyślność i chęć podróżowania zdecydowały. Chciałem odciąć się od Europy, choć jedynym właściwym dla mnie miejscem był właśnie Cambridge, gdzie zacząłem studia. Siedziałem tam przez rok, Królowa płaciła czesne i było mi dobrze. Tylko te nieustanne listy od wuja z Kanady: Przyjeżdżaj, przyjeżdżaj! Nalegał, wystarł się o potrzebne dokumenty, opłacił wszystkie koszty, ale — jak się okazało, że u dził się w swoim samotnym „podkarpackim” Shangri La, u podnóża Gór Skalistych. Wspaniałych, przystających niebo i kontakty z jego mieszkańcami. Bo płaszczyny tam za groź. Dopiero dalej, na północy rozciąga się sławna kanadyjska tundra aż do biegun. Nazwałem ją w moim angielskim wierszu „płaskie Himalaje”, co bardzo podobało się memu kanadyjskiemu przyjacielowi i znanemu pisarzowi, Janowi Robertowi Colombo. Z innymi pisarzami miałem nikły kontakt. Raz

skorzystałem z zaproszenia, by wystąpić na tutejszym Harbourfront, literackim targowisku światowych sław, ale jego jarmarczna organizacja zraziła mnie. Jedyną pociechą całej imprezy było uczestnictwo w niej wybitnej polskiej poetki Ewy Lipskiej. Zarekomendowałem ją, ukazał się jej tomik w przekładzie na angielski z moją pomocą i Ewa Lipska wyjechała zadowolona, wywołując w sercu uczucie przyjaźni do tutejszego kraju. Lipska, jak mi pisze, do dziś tęskni za Toronto. Szkoda. Gdyby pożyła tu dłużej, spotkałoby ją gorzkie rozczarowanie.

Przechrul to w porę Zbyszek Herbert, bo gdy w okresie szalejącego w kraju terroru komunistycznego załatwiłem mu w tutejszym Ontario College of Art pracę wykładowcy, a on będąc w Paryżu, wyraził chęć pozostania na Zachodzie, w ostatnim momencie coś go ostrzegło i zrezygnował z emigracyjnej wolności. Szkoda tylko, że zawiadomił mnie o tej decyzji dopiero po roku, gdy ja, jak niepyszny, musiałem usprawiedliwiać jego rezygnację naprędce wymyślonym kłamstwem. Ale dla wielu Toronto jest oczkiem w głowie, ma zapewne już fundamenty historyczne, z angielską fasadą i francuską przybudówką. Tylko co będzie, gdy Indianie i Eskimosi dojdą do głosu? Gdy upomni się o nich Prawo i Historia?

Ulica centralna, Yonge, to wprowadzie nie Champs-Élysées ani Piccadilly, ale dla wielu jest ważna, jej doniosłość rośnie z latami i nawiązującym się domowym snobizmem, szerszym przez elementy nie tyle patriotyczne, co wrogo nastawione do Stanów Zjednoczonych. Są jeszcze inne ulice, jak Bankowa, Bay, przy której rozsiadł się leciwy magistrat, serce miasta. Jest to budowla stara, z ciosanego kamienia, z pietyzmem przeniesiona z Anglii, dawny zamek lordowski. Dalej dzierży on palmę pierwszeństwa, mimo iż o krok, po drugiej stronie ulicy, wyrósł nowy dziwolog, o wiele wyższy od starego, przypomina on dwie półtwarze muszle, częściowo zachodzące na siebie, z niskim pośrodku grzybkim, salą posiedzeń dla naszych ojców miasta.

Gdybyśmy oddalili się od śródmieścia na zachód, a potem na południe, w stronę jeziora, zobaczylibyśmy bezpieczny prawie obszar, zielone wawy, fosy i ukryte w nich baraki, zbite prymitywne z ciosanych okrągłaków. Jest to tak zwany Fort, chluba historyczna kana-

dyjskiego męstwa. Tu bronili się garstka tutejszych pionierów, zaskoczona amerykańską inwazją. Nasi dokazali swego, siły amerykańskie w poplochu wycofały się aż nad rzekę Niagarę, a ścigane, przepłynęły ją wplaw. Nikt nie utonął, gdyż to wszystkim działa się poniżej sławnych wodospadów.

Nad Fortem czuwa obecnie tutejsze Towarzystwo Historyczne, złożone z patriotów i profesorów, emigrantów i tubylców, nie więc dziwnego, że z każdym rokiem wady i fosy Fortu nabierają bardziej groźnego i bojowego wyglądu, czemu nie należy się dziwić. Historia młodego kraju przybiera na tuzszy i porasta w pierze.

Odkąd zostałem urzędnikiem w ministerstwie, zachowuję się jak urzędnik i staram się myśleć jak inni. Poruszam się w szerokich korytarzach i przestrzennych salach, kłaniam sędziom, prokuratorom i adwokatom, a oni odwzajemniają mi się. Chyba jestem popularny, bo zawód urzędnika wymaga tego, nawet ma swoje dobre strony, choć popularność wyjawia i zabiera czas. Wzorowy urzędnik żyje szablonem, zachowuje się jak marionetka. Staram się jak mogę uratować siebie. Unikam wspólnych lunchów, towarzyskich wieczorów i kolacji, organizowanych wypadów na imprezy sportowe. Po pracy, wieczorem wracam do domu, wyciągam butelkę „wyborowej”, nastawiam płyty Szopena, czytam londyńskie, niepodległościowe pisma, no i znaną z politycznych wytycznych, paryską „Kulturę”. Stać się sturocentowym emigrantem-patriotą. Rutyna ta zaczyna czasem nudzić, ale przeświadczenie, że walczę o coś więcej niż emigracyjny byt, zwycięża. Wiem, że nigdy nie będę „tutejszy”, że nie wpadnę w ich pułapkę, jak wielu z moich kolegów. Bo przecież za życia nie przyjechałbym do Kanady w normalnych warunkach i przy zdrowych zmysłach.

Stary magistrat, frontem zwrócony do ulicy Queen, ma masywny średnio-wieczny wygląd i kaskada wygodnych schodów dochodzi do chodnika. Z respektorem zatrzymuje się przy zielonym klombie, w lecie pełnym kwiatów, które pełnią tu kolorową służbę przy pomniku Nieznanego Żołnierza, dla uczczenia poległych w Pierwszej Wojnie Światowej.

Rzeźba jest raczej realistyczna, ustawiona na wyniosłym cokole, co bardziej uwydatnia brawurę symbolicznego aktu. I na tym chyba się kończy tutejszy patriotyzm: Fort i pomnik. Są jeszcze inne drobne pamiątki, ale głuży je chaos codziennego życia.

Ulica Bay centrum dolarowe miasta, biegnie ruchem strzały od jeziora do Queen, gdzie dyskretnie przystaje przy pomniku, potem łagodnym łukiem omija go i biegnie na północ.

Ale to już inna historia, uważam, iż nie warto rozdmuchiwać kanadyjskiej legendy — zwłaszcza DZIS.

Co nowego w prasie?

Ostatni (4) nr NAGŁOSU będzie na pewno cenną pozycją w pracowniach krytyków i historyków kultury PRL. Jest bowiem poświęcony w całości zjawisku Nowej Fali, którą to zbiorową nazwą określono pojawienie się na przełomie lat 60. i 70. licznych debiutów w różnych dziedzinach twórczości artystycznej (poezja, plastyka, teatr, krytyka). Historyczne tło tego zjawiska to Marzec '68 — Grudzień '70, a młodych autorów Nowej Fali, którzy często nie znali się osobiście, łączył, mniej lub bardziej manifestowany, krytyczny stosunek do rzeczywistości. Nowy nr NAGŁOSU zawiera wspomnienia, wypowiedzi i autokomentarze głównych postaci Nowej Fali, próby oceny dorobku tej formacji, a także nowe wiersze jej czołowych poetów.

Ukazał się pierwszy numer

nowego comiesięcznego dodatku do POLITYKI pt. KULTURA. Zawiera 8 stron, z czego dwie prawie w całości wypełniają reklamy. Na pozostałych m.in. obszerna rozmowa Adama Krzemińskiego z Marią Janion o współczesności oraz przyszłości polskiej kultury i literatury, fragment nie publikowanej dotąd powieści Aleksandra Scibora-Rylskiego poświęconej losom wywożonych przez NKWD akowców (w drukowanym obok komentarzu Tadeusz Drewnowski porównuje ten tekst do słynnego „Proszę państwa do gazu” T. Borowskiego), interesujący szkic Janusza Tazbira o obrazie Rosjan w polskiej literaturze oraz 1. część pracy Henryka Markiewicza „Z dziejów plagiatu w Polsce”. W krótkim słowie wstępnym Andrzej Mencwel (red. naczelny) pisze m.in.: Wraz z mocnym uderzeniem kultury

masowej pojęcie upowszechnienia nie tyle upadło, ile się rozwiło. (...) Z porażki pewnego typu upowszechnienia i ze zużycia towarzyszących mu pojęć nie wynika jednak klęska idei kultury powszechnej, starego mitu lewicy o kulturze pełnej, twórczej i harmonijnej (...) Tak, to utopia, ale co nam zostanie wobec Forsytha i Ludluma (...) jeśli się jej wyzbędziemy? Grymasy, płacze i lamenty. Słowa te pozwalają oczekiwać, iż w KULTURZE znajdzie się miejsce dla rzeczowej publicystyki na temat dzisiejszych realiów społecznego funkcjonowania kultury. Niestety, w pierwszym n-rze materiałów takich brak.

W 11 n-rze LITERATURY Krzysztof Karasek w szkicu pt. „Jaka będzie poezja przyszłości?” próbuje odpowiedzieć na tytułowe pytanie, ograniczając zresztą jego zakres czasowy do najbliższego dziesięciolecia. Prognozy swe konstruuje, interpretując materiał zawarty w antologii współczesnej poezji polskiej „Od października do sierpnia”, która wkrótce ma ukazać się w druku. Formulowana ostrożnie hipoteza Karaska sprowadza się do przypuszczenia, iż Eksplozja prowincjonalizmu, odkrywaniem korzeni, oto być może główny kierunek natarcia poetyckiego słowa w najbliższym dziesięcioleciu (...) Idzie (...) o to, aby wnieść swoje twórcze, osobne i szcze-

gólne doświadczenie: własnej grupy etnicznej, własnego powiatu, swojej „małej ojczyzny” do „ojczyzny dużej” — języka. Mazurskość Kruka i Brakonieckiego, pomorskość Miłczewskiego, białoruskość Cieleśza, tatarskość Chazbięwicza, żydowskość Rozenfel-

da i Matywieckiego to także szansa poezji polskiej na najbliższą — a może i dalszą — przyszłość. Zaczyna być wreszcie właściwie rozumiane doświadczenie słowa, które wnoszą poeci periferii...

J.L.

Najtańszy w Polsce DWUTYGODNIK KULTURALNY DEKADA LITERACKA

- Wychodzi na początku i w połowie każdego miesiąca
- Znakomite nazwiska — ciekawe tematy
- Potrzebna inteligencji — niezbędna w szkole i na uniwersytecie
- Do nabycia w kioskach „Ruchu” i w wybranych księgarniach

Najpewniejsza w prenumeracie:

30 tys. kwartalna (I—III 92)
i 60 tys. półroczna (I—VI 92).

Wpłaty należy dokonywać na konto:
Wydawnictwo Gazeta Krakowska
PKO I OM 35510-804334-136

ODKRYWANIE SAMEJ SIEBIE

Z MIRIAM AKAVIĄ rozmawia Zbigniew Baran

MIRIAM AKAVIA, znana pisarka izraelska urodzona w Krakowie; eseistka i tłumaczka literatury polskiej na hebrajski. Jest m. in. członkiem izraelskiego PEN-Clubu i Zarządu Stowarzyszenia im. Janusza Korczaka. Laureatka wielu nagród, w tym nagrody polskiego oddziału Stowarzyszenia Kultury Europejskiej w roku 1988. Obok pracy twórczej prowadzi ożywioną działalność publiczną na rzecz zbliżenia i pojednania pomiędzy naszymi narodami. Wyróżniona wysokim odznaczeniem prezydenta RP.

● W jednym z listów zaznaczyłaś, że nie jesteś pisarką żydowską, lecz izraelską. Czy mogłabyś wyjaśnić, na czym polega specyfika tej literatury?

— Jest to sprawa miejsca i języka. Kiedy powstało państwo Izrael, chcieliśmy udowodnić sobie samym i światu, że jesteśmy zdolni odrodzić język hebrajski i stworzyć literaturę nawiązującą do złotych okresów kultury hebrajskiej. Powrót do Izraela stanowił wielką rewolucję w życiu narodu, tak, że na początku doszło do głosu radykalne dążenie do odrzucenia wszystkich języków i zwyczajów z diaspory. Ale trzeba to zrozumieć. Nie można było przecież tworzyć państwa bez wspólnego języka. Żydzi powracający do Erec-Israël posługiwali się tak różnymi językami, że istniało niebezpieczeństwo powstania prawdziwej wieży Babel. Pierwsi odrodziciele hebrajskiego, jak Eliezer Ben-Jehuda posiadali szalenie upór nie tylko tworzenia literatury, ale również wprowadzenia hebrajskiego do życia codziennego. To graniczy prawie z cudem — wskrzeszenie języka z jego skamieniałości, świętej hieratyczności — języka Biblii i liturgii żydowskiej. To tak jakby dzisiaj zaczęto używać języków powszechnie martwych — łaciny czy starej greki. W tym ruchu odrodzenia hebrajskiego zachodziły zjawiska niezwykle i to w najbardziej wysublimowanej formie literatury, jaką jest poezja. Dla przykładu, wielki poeta Czernichowski, który nie wyrastał w kręgu kultury hebrajskiej — w jego poezji istniały silne wpływy hellenistyczne i klasycznej kultury niemieckiej — po przybyciu z Rosji do Erec-Israël, zaczął pisać równie oryginalne wiersze po hebrajsku.

● A jak zaklasyfikować tych pisarzy, którzy nie tworzą po hebrajsku?

— Obecnie jest więcej tolerancji i nie ma już takiego wewnętrznego imperatywu, aby wypowiadać się jedynie w tym języku. Oczywiście literatura hebrajska pozostaje najważniejsza i jesteśmy z tego dumni, że uważa się ją za najbardziej reprezentatywną dla całej literatury żydowskiej, ale to nie znaczy, że nie mają w Izraelu szans pisarze innych języków. Istnieje u nas secesyjna federacja skupiająca pisarzy wszystkich języków Izraela. Każda sekcja posiada własne pismo: sekcja angielska „Jerusalem Post”, niemiecka „Letztennachrichten”, węgierska „Uikelet”, polska — dziennik „Nowiny Kurier” z tygodniowym dodatkiem literackim. Nie wspominając o związku pisarzy języka hiszpańskiego, francuskiego, arabskiego, a ostatnio coraz prężniejszym związku języka rosyjskiego, który wobec napływu licznej fali emigrantów z Rosji nabiera dużego znaczenia. Rosyjski staje się trzecim językiem Izraela po hebrajskim i angielskim. W tej mieszaninie dostrzegalne są przeróżne wybory i konfiguracje; zdarza się, że rodowici Arabowie piszą po hebrajsku, natomiast Żydzi z krajów arabskich zachowują arabski.

● Z tego, co mówisz, wynika jednak, że określenie „Hebrew writer” najbardziej nobilituje...

— Niewątpliwie. Moje 30 lat milczenia było w dużej mierze uwarunkowane tym, że długo trwał u mnie proces przeżywania i odkrywania samej siebie w języku hebrajskim. Kiedy uzyskałam świadomość literacką w hebrajskim, powróciłam do języka polskiego. Dla mnie

samej jest to zaskakujące: gdy tłumaczę siebie z hebrajskiego na polski, dochodzę wielokrotnie do przekonania, że wersja polska jest lepsza od hebrajskiej i poprawiam wtedy oryginał. Jednak hebrajski pozostaje dla mnie pierwszym językiem, gdyż daje mi on odczucie uniwersalizmu i koniecznego dystansu do przeżytych w Polsce wydarzeń, które służyły mi w *Jesieni młodości* i *Mojej winnicy* za literacki materiał.

● Zgoda. Niemniej Twoje perypetie z językiem hebrajskim nie wyjaśniają do końca, dlaczego postanowiłaś pisać. Czy Twoje milczenie nie jest charakterystyczne dla wielu podobnych Ci pisarzy, którzy przeżyli Holocaust?

— Dotknąłeś najbardziej czułych strun. Kiedy jako siedemnastoletnia dziewczyna trafiłam po wojnie do Szwecji, próbowałam pisać wiersze po polsku, których nikomu nigdy nie pokazałam. Stan zamrożenia mojej świadomości trwał bardzo długo. Złożyło się na to wiele przyczyn. Zdawałam sobie sprawę z tego, że muszę narodzić się na nowo — być normalną, pracować, wychowywać dzieci. Ale im bardziej żyłam na zewnątrz, tym bardziej piętrzyły się nie wyartykułowane wspomnienia i przeżycia. To była nieznośna sytuacja rozdwojenia, koegzystencji dwóch będących w nieustannym konflikcie osobowości. Usprawiedliwiałam się, że literatura nie jest dla mnie, że tego co mam do przekazania nie zdołam wyrazić w odpowiedniej formie literackiej, że na luksus pisania pozwolę sobie wtedy, gdy przejdę na emeryturę. Pierwsza moja książka *Jesień młodości* napisała się zupełnie naturalnie, bez większych prób i literackich eksperymentów. Manuskrypt książki wysłałam do „Jad-Vaschem” i kibucu „Bohaterów Getta”, specjalizujących się w wydawaniu świadectw i pamiętników. Z obu stron otrzymałam piękne listy i podziękowania, ale z wymownym znaczeniem, że mój sposób narracji i konstrukcja przekracza ustalone normy w literaturze dokumentu. Był to najwspanialszy komplement, jaki mogłam sobie wyobrazić. Zrozumiałam wówczas, że odkryłam swój styl i na tej książce się nie skończy.

● Zadebiutowałaś świetnie. Jesień młodości przetłumaczono od razu na niemiecki, holenderski, polski i szwedzki.

— Sukces książki tłumaczyłabym sprzyjającą atmosferą, która zaczęła się tworzyć w Izraelu od połowy lat siedemdziesiątych wokół filozofii i literatury po-Holocauste. Po prostu dojrzelśmy do pogłębionej refleksji nad tragedią Shoah, którą wcześniej odrzucaliśmy z premedytacją. Moje pokolenie ze swoimi neurotycznymi stanami i lękami nie miało możliwości przebicia się do ogólnej świadomości. Młodzież izraelska nie chciała się biecować przeszłością i jakby z zasady odrzucała myśl o niedawnym katastrofizmie i żydowskiej rezygnacji — im potrzebna była niezłomna wiara i optymizm w budowie zębów niepodległego i silnego państwa. Ten problem wzajemnego niezrozumienia pokoleń najlepiej wyjaśnia termin „81. uderzenie”, użyty przez znanego poeizma izraelskiego, Chaima Guri, który podniósł go do rangi symbolu. Wyjaśniając w skrócie, jest to wstrząsająca historia człowieka, który został skazany w obozie koncentracyjnym na okrutne tortury. Istniała magia, nie przekraczalna do wytrzymania dla ludzkiego organizmu

liczba uderzeń. I ten człowiek pomimo wycieńczenia i niedożywienia wytrzymał śmiertelne tortury. Przeżył i po wojnie znalazł się w Izraelu, lecz w jego historii nie chciano uwierzyć. Było to owo symboliczne 81. uderzenie, którego tym razem doznał od swoich rodaków.

● Zastanówmy się teraz nad liryzmem Twojej literatury. Jak to wyjaśnić, że pisząc o czasach Holocaustu pozostajesz naiwną dziewczynką, której czystość uczuć nie zabija nawet okrucieństwo wojny?

— Livia Jackson, profesor literatury z Ameryki, w eseju o moim piarstwie twierdzi, że Miriam Akavia jakby się w ogóle nie zestarzała. Tak jak powiedziałeś, w moim podejściu jest wiele naiwności, być może dziecinnej egzaltacji, ale — jak trafnie spuentowała to Livia Jackson — nie jestem jedynie pisarką dla dzieci i młodzieży. W moim piarstwie krytycy odkrywają również inne warstwy i pokłady tematyczne — istotne dla mnie postanie o zagubieniu jednostki i wartości humanistycznych w świecie zła i przemocy. Oczywiście wcielam się w swoich małych bohaterów, przyjmuję ich sposób myślenia, skalę wyobraźni, język — ale absolutnie nie muszę się tego wstydić. Staram się pokazać, jak żydowskie dzieci naznaczone śmiercią walczą o przeżycie, zaczynają decydować nie tylko o swoim losie, ale i najbliższych, stają się praktyczne, przedsiębiorcze — nie poddają się.

● Tak, to jest zresztą zasadnicza cecha Twojej literatury odróżniająca Cię np. od Singera czy Kosińskiego. U Ciebie nie ma ostrych kontrastów, napiętości i wynaturzeń.

— We współczesnej kulturze istnieje niebezpieczny trend do ciągłych eksperymentów, epatowania się cynizmem i brzydota. Bardzo trudno uzyskać miano artysty, operując prostymi środkami wyrazu, przyznawać się do szlachetności uczuć, wielbić piękno. W moim przypadku to chyba cecha wrodzona. W rodzinnym domu i mitologizowanym przeze mnie Krakowie doznałam ciepła i miłości, dlatego notorycznie wracam do utraconej Arkadii dzieciństwa. Ktoś mi może zarzucić, że idealizuję przedwojenny obraz stosunków polsko-żydowskich i jestem nieznośnie wyrozumiała dla wszystkich przejawów polskiego antysemityzmu, ale ja, doprawdy, chcę normalności. Ubolewam, że zachowujemy się niekiedy jak ofiary wojny, które nie mogą wybaczyc sobie wzajemnych krzywd, napadają na siebie i oskarżają.

● W *Mojej Winnicy*, książce, którą poświęciłaś swoim najbliższym, odwołujesz się do symbolicznego określenia „Kraków — matka i miasto Izraela” (le wa-em be-Israël). Zastanawiam się jednak nad odbiorem takich pojęć. Zwłaszcza Żydzi amerykańscy traktują Polskę jako ziemię przeklętą, miejsce Shoah i są dalecy od uznania wielowiekowej tradycji istnienia właśnie tutaj całego bogactwa kultury żydowskiej...

— Wierzę, że jesteśmy na dobrej drodze. Chcąc lepiej zrozumieć, musimy więcej wiedzieć. Istnieje obecnie pozytywny trend zarówno wśród młodzieży żydowskiej w Izraelu, jak i Stanach Zjednoczonych, poszukiwania własnych korzeni, odkrywania zatraconej tożsamości. Młodzi ludzie nie tylko odwiedzają w Polsce miejsca zagłady Żydów i cmentarze, ale także uczestniczą w różnych spotkaniach i seminariach, wreszcie, w niedawno powstałych towarzystwach przyjaźni, starają się pojąć i racjonalizować wydawałoby się prostą oczywistość, że Polska była przez stulecia centrum kultury i religii żydowskiej, że stąd wywodzi się znacz-

na część Żydów mieszkających w Izraelu i diaspory. Wiele na tym polu dokonali historycy, natomiast głos pisarzy jest mało słyszalny. Wydaje mi się, że literatura ma tutaj do wypełnienia swoją misję, gdyż poprzez środki ekspresji i działania na uczucia posiada większe możliwości trafiania do szerszego kręgu odbiorców.

● Jesteś również tłumaczką polskiej literatury na hebrajski. Przekładałaś m. in.: Pawlikowską-Jasnorzewską, Leśmiana, Strykowskię, Kolakowskiego. Co możesz powiedzieć na temat zainteresowania naszą literaturą w Izraelu, czy jest ona jakimś znaczącym zjawiskiem?

— Pomimo tego, że trudno u nas marzyć o wielkich nakładach — nasz kraj liczy zaledwie 4 mln mieszkańców i jest mieszaniną wielu kultur — książka polska zdobyła sobie ustaloną renomę i posiada swój wybrany krąg czytelników. Od samego powstania państwa Izrael ukazywały się liczne przekłady literatury polskiej na hebrajski. Dzieła Mickiewicza, Słowackiego, Sienkiewicza, Prusa, Tuwima czy Brzechwy mają nawet kilku tłumaczy. Wydaje mi się, że nie ma współczesnego, wybitnego polskiego pisarza, który nie byłby u nas przekładany. Wysoką pozycję uzyskał Zbigniew Herbert, laureat prestiżowej Nagrody Jeruzolimy, nie mniej ceniony jest Jerzy Andrzejewski, Tadeusz Różewicz, Czesław Miłosz, Wisława Szymborska i Ewa Lipska. Ale jeżeli mówimy o ożywionej recepcji literatury polskiej w Izraelu, to nie ma właściwej reakcji odwrotnej. Trochę mnie denerwuje, kiedy przyjeżdżam do Polski i słyszę w kółko Bashevis Singer, tak jakby nie istniała literatura tworzona w Izraelu. A przecież warto dotrzeć do tej literatury i ją tłumaczyć z uwagi choćby na to, że w twórczości wielu naszych pisarzy od Omosu Oza, Chanocha Bartova, Davida Grossmana po Joramę Kaniukę i A. B. Jehszua, przewija się tematyka polska z różnymi reminiscencjami i obsesjami.

● O tych zapewne problemach dyskutowałaś ze swoimi polskimi kolegami, będąc oficjalnie zaproszona przez warszawski oddział SPP...

— Cieszę się, że wraz z Szamajem Golanem, byłem prezesem Hebrew Writers Association mogłam uczestniczyć w przyjacielskiej wizycie, która jest pierwszą z planowanego cyklu stałej wymiany pisarzy i tłumaczy naszych krajów. Myślę, że to w przyszłości zaowocuje wydaniem wspólnych serii wydawniczych oraz stworzeniem instytutu literackiego na wzór Deutsches-Polen Institut Karla Dedeciusa. Mój pobyt w Polsce był też o tyle ważny, że umożliwił mi kontakt z moimi wydawcami. W Wydawnictwie Dolnośląskim ukaże się niebawem zbiór moich opowiadań, natomiast oficyna poznańska C. A. „Books” chce wydać w dużym nakładzie powieść *Galila i Miklosz*, tłumaczona wcześniej na angielski i rosyjski, która uznaje się za izraelską „Love Story”.

● Jaki obraz Polski zabierasz ze sobą do Izraela?

— Polska od mojego ostatniego pobytu pozytywnie się zmieniła. Wreszcie jest kolor na ulicach, większa schludność i uspokojenie w rozmowach, ale pozostają nieprzezwyciężone stereotypy. W pociągu jadąc z Warszawy do Krakowa siedziałam z młodymi ludźmi, którzy opowiadali niesamowite głupstwa na temat Żydów, więc podarowałam im *Jesień młodości*. Może czegoś się z tej książki nauczą...

— Dziękuję Ci serdecznie za rozmowę.

Kraków, 3-6 października 1991

przekłady

Z przygotowywanego dla Wydawnictwa a5 wyboru wierszy Ogdena Nasha pt. „W SWIECIE MULOŃ NIE MA REGULÓW” oraz 99 innych rymowanych podsumowań podstawowych problemów, przed jakimi stawia nas doczesna egzystencja”.

OGDEN NASH

w nowych przekładach Stanisława Barańczaka

KRÓLIKI

Króliki
Mają nawyki;
Szczególnie jeden nawyk mają, bestie,
Lecz nie wnikajmy w tak intymne kwestie.

MUCHA

Pan Bóg stworzył muchę,
Nieb milczenie glucho
Kwituje kwestie, nad którą
teologowie się poez;
Po co?

STONOGA

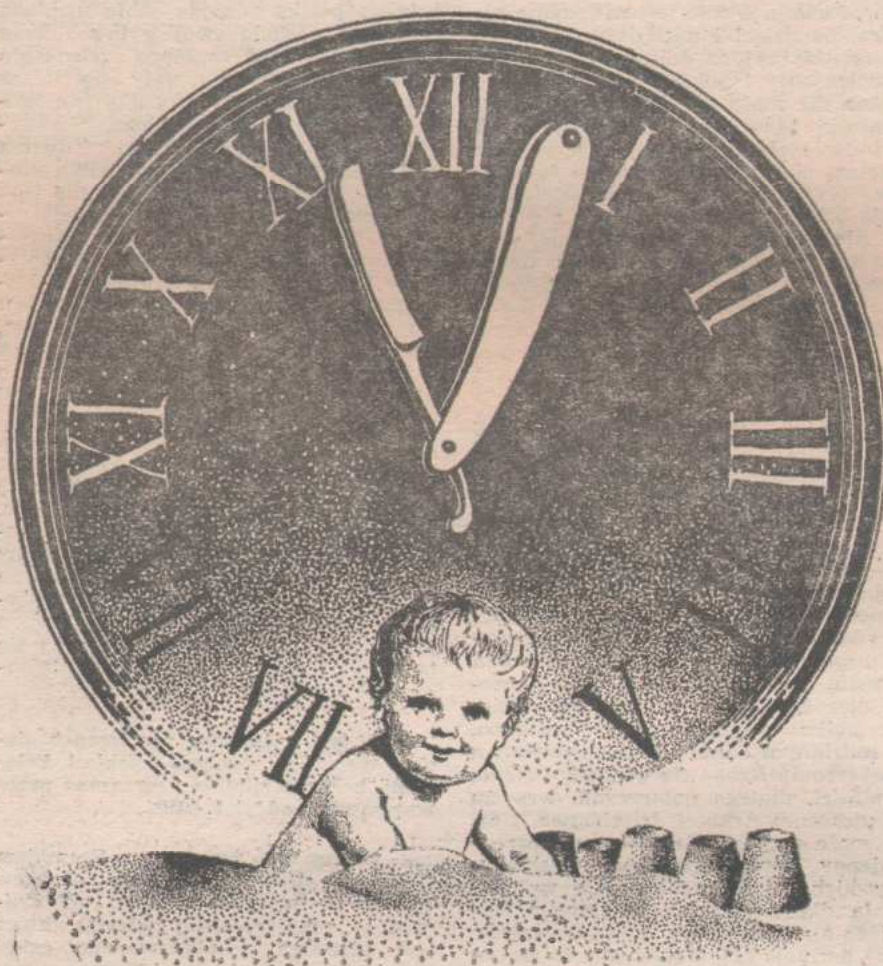
Jak pragnę Boga,
Po co komu stonoga?
Gdy sunie po podłodze, setką nóg
drobiąc z gracją,
Próba walnięcia w nią czymś
kończy się zawsze frustracją:
Albo się trafia nie w stonogę,
Albo też trzeba myć podłogę.

REFLEKSJA NA TEMAT NIEGODZIWOŚCI ŚWIATA

TY: Cnota!
ŚWIAT: Idiota.

WIERSZE DO WYHAFTOWANIA NA ŚLINIACZKU

Niech będzie, że Leonardo
Zupę mleczną darzył pogardą;
Ze mały Tomaszek Mann
Nie jadał kaszek mann;
Ze Mucjusz Scewola
Wątróbce powiadał: „Hola!”;
Ze Johann Sebastian Bach
Na widok przecieru z warzyw stękał z bólem: „Ach”;
Ze Idi Amin
Prowadził aktywny tryb życia pomimo niedoboru witamin;
Ze Rubens (artysta-plastyk)
Podobnie zdziałał sporo bez właściwych diet i gimnastyk;
Ze w Dżyngis-chanie
Coś się jeżyło na samą myśl o tranie;
Ze logika Wittgensteina,
Gdyby Wittgenstein jadał szpinak, byłaby nie taka fajna;
Ze królowa Wiktorja
Wybuchala: „Kaloria? Jaka znowu kaloria?”;
Ze Joannie D'Arc
Na dźwięk słów „wartość odżywcza” jęł skarg rwał się z warg;
Ze czasem i Juliusz Cezar
Z talerza wszystkiego nie zęcał;
Widzę, że znasz historię od podszewki,
Ale dokończ tej naprawdę smacznej gotowanej marchewki,
A jeśli chcesz, by w komponowaniu menu kierowano się twoją wytyczną,
Zostań wpięrow postacią historyczną.



OTRZYMALISMY WŁAŚNIE WIADOMOŚĆ Z OSTATNIEJ CHWILI

Królik, choć oczka miło mu dręszają,
Chyłkiem zaraża nas tularemją.
Papugo, niby niczym nie grozisz,
Przez ciebie jednak mam psittacosis.
Słychać nad bagnem brzęk,
niemal arię;
Komar roznosi skrzętnie malarię.
Jeszcze się kleszcze — obwieszę
z dręszczem —
Mszczą zapaleniem opon złowieszczem.
Tłumy od dżumy umrą; szczur z moru
Kpić może: „W morze — morze
humoru!”
Wieprz pzerobiony na wieprzowinę
Chytrze nam w trawia wtrynia
trychine.
Fies dzię niemowlę przyjaźnie liźnie,
Jutro — kłem wyda na żer wściekliwość.
Z bobaska, który ślicznie się ślini,
Wyrasta Hitler lub Mussolini.
Takąśm Ziemię w spadku dostali.
Potomnym życząc nerwów ze stali.

PURYSTA

Przedstawiam profesora Twista:
Ten znany w świecie specjalista
Nadzwyczaj ceni ścisłość mowy —
Istny purysta językowy.
Gdy rektorowi raz z przyjaźni
Wytknął publicznie, że się blaźni
Mówiąc nie „ciagle” ale „ciungle” —
W nagrodę go wysłano w dżunglę,
Aby tam badał przez lat parę
(„Nie ma pośpiechu!”) pewną gwarę.
Pewnego dnia na brzegu wielkiej
Rzeki, wkładając rano szelki,
Twist spostrzegł brak swej młodej żony.
Przewodnik, bijąc w pas pokłony,
Wyjawił całą horror story:
„Pożarta przez aligatory”.
Twist, słysząc, co mu prostack brzdzi,
I tłumiąc uśmiech, w odpowiedzi
Poprawia: „Jeśli się nie mylę,
Ma pan na myśli krokodylę!”

KOBRA

Zamiast na nogach, kobra na śledzienie
W dal się posuwa, przy czym jałem
złonie.
Pozorność kobrzych enót, lask, ciepł
i dóbr
Sam poznasz, gdy się zbratasz
z którąś z koba.

SPOD BUTA TABU

Impuls mnie pędzi,
Odwieczny zapal:
Gdy coś mnie śwędzi,
Rad bym się drapał.

A tu kręgi medyczne potępiają drapanie,
Społeczeństwo w drapaniu tropi złe wychowanie,
Wyższe sfery szczególnie z tą czynnością są w walce,
Widząc w niej coś jak plucie lub smarowanie w dwa palce.
O, nie wiedzą salony, jaki żar żądź szalony
Pod niejedną skarpetką pionie nieposkromiony!

Kmieć czy satrapa —
Nie grozi nędza
Temu, kto drapa,
Co go zaswędza.

Hej, wierzące się rzesze — długoż jeszcze będziemy
Wię się pod butem tabu, anosić bał anatemy?
O drawi krawędź łopatka niech się śmiało ociera,
Niechaj dłoń drapie tydkę, niech drży tabu bariera!
Niech nam veto medyka nie zamyka obszarów
Błogiej ulgi, niech pryka żeźre chmara komarów!

Skąd wieczna chwalla
Jadzi Jagiello?
Stąd, że drapała,
Gdy ją śwędziello.

A W ROKU PRZESTĘPNYM TRZYSTA SZESZCZDZIESIĄT SZESĆ

Niektórzy gołą się przed wzięciem prysznic
A na wzmiankę o ludziach, którzy biorą prysznic przed goleniem, zetyka
Im się ze złości łehawica,
Podczas gdy ci, którzy wpięrow biorą prysznic, a gołą się potem,
Sugerują mniej lub bardziej delikatnie, że tych, którzy wpięrow gołą a
następnie biorą prysznic, należałoby nazwać czarciem pomietem.
Zabójczy, że golimy się przed wzięciem prysznic: otóż w takim wypadku
mamy tę przewagę, że po ogoleniu się nie musimy wykonywać
odrębnej czynności splukiwania z twarzy piany, ponieważ piana
spłynie z nas, wraz ze wszystkim innym, co powinno z nas spłynąć,
gdy tylko staniemy pod natryskiem, i nie będziemy się tym problemem
ani przez chwilę gryźli,
Jednakże minusem jest to, że przed wzięciem natrysku skóra twarzy jest
sucha i twarda, toteż w sytuacjach tego rodzaju nasz zarost stawia
czoło (jeśli można tak powiedzieć) żyłecce jak broniąca swoich
niezdziwisków niedźwiedzica grizzly.
Dobrze, założmy zatem z kolei, że bierzemy prysznic przed goleniem: w
takim wypadku, no cóż, plusem jest oczywiście to, że nawilżona skóra
mięknie i zarost wręcz sam kładzie (żeby się tak wyrazić) głowę pod
ostrze,
Minusem jednak jest to, że aby usunąć resztki piany z twarzy, zmuszeni
jesteśmy tę ostatnią umyć jeszcze raz nad umywalką niemal
natychmiast po umyciu jej pod natryskiem, co pozostawia nas w
stanie nieskazitelnego domycia ale zarazem rozterki na temat „dlaczego
życie nie może być odrobinę prestsze”.
Obiektywny sędzia, drodzy panowie, może tu tylko zawyrokować, że
Fatum każe nam za przejście gościńcem życia płacić paskudnie
wygórowane myto,
Jako że co dzień rano stawia nas w typowej sytuacji tragicznego wyboru,
twarzą w twarz z jedną jedyną alternatywą: tanie cały dzień z gębą
podrapaną i pickaną czy z gębą niepotrzebnie dwa razy umytą?

Nim mię osądzisz, czekaj słońca i pogody.

A. M., Elegia

JESZCZE DALEKO DO ZENITU, JALE NIEBO, JAK PRZED BURZĄ I JAK PO BURZY, AŻ BIAŁE OD WZBIERAJĄCEGO UPALU. CZY W ŻMUDNYCH I W PEŁNYCH NAFIECIA ROZMOWACH USTALONO JUŻ, W JAKI SPOSÓB PRZYJDZIE DOKONAĆ ZAMACHU NA CESARZA, SKORO DOTARŁA TAM GDZIE TRZEBA WIADOMOŚĆ O JEJGO PLANOWANEJ PODRÓŻY NA POŁUDNIE? DZIWNIA ZAISTE POTRZEBA CIĄGŁEJ ZMIANY MIEJ-

wierającą wiadomość o jego śmierci wrzuci do morza, kiedy tylko wypłyniemy z portu. A więc dziś o swiecie trzech albo czterech strażników w towarzystwie garnizonowego duchownego oraz felczera — bo nie sądzę, żeby w tym orszaku pojawił się również zaspiany komendant twierdzy — wyniesie w zaszytym worku ciało Chłopaczka przez furtkę w murze na wąski kamienisty przesmyk, o który rozbijają się fale jeziora. Wcześniej wykopano tam już wąską dół i po krótkiej modlitwie ojca duchownego worek wrzucono do dołu. Potem zasypano go ziemią i kamieniami. Teraz, gdy słońce wysunęło się w górę, miejsce to niczym nie różni się już od innych fragmentów

ptomy. Dlatego właśnie pan Adam prowadzi go do jadalni i tam obaj panowie, oczekując wezwania, wypijają kilka kieliszków za pomyślność długiej podróży do Eupatorii. Pomysł z wciągnięciem biednego rządcy w tę pułapkę zrodził się niechybnie w głowie pana Adama, ale oczywiście przesadzające wszystko polecenie wydała pani Karolina po porozumieniu się z małżonkiem. W taki to sposób pan Kalusowski ma być główną atrakcją tej podróży. Szlagon, jakby wyciągnięty żywcem z innej epoki, polski farmazon, przy tym wcale niegłupi, sprytny nawet bardzo, a pod pozorami jowialnego prostactwa ukrywający niezgorszy zmysł do interesów, w towarzystwie

z oczarowanym już w pierwszej chwili kapitanem, kiwa mi zaledwie główką w jasnych lokach i raczy pytać, czy nie zapomniałem swojej siatki na motyle? Potem, nie zwracając oczywiście uwagi na moją odpowiedź, każe służącemu prowadzić się do kabiny. Kiedy mija drzwi prowadzące do jadalni, widzi stojącego w progu pana Adama dającego jej jakieś znaki. Słyszę także dochodzący zza pleców pana Adama tubalny głos Kalusowskiego, pytającego, jak długo ma jeszcze czekać na polecenia pani hrabiny? Pani Karolina coś mu odpowiada, ale nie zatrzymuje się ani na chwilę i pan Adam cofa się, aby wrócić do przerwanej biesiady. General Witte tymczasem stojąc przy trapie rozmawia z bratem swojej kochanki. Pan Henryk coś mu tłumaczy z ożywieniem. Moja uwaga, iż najwyraźniej czeka na kogoś, pewnie się niebawem sprawdzi, bowiem na trap wchodzi tylko pan Witte. Kiwa jeszcze ręką na pożegnanie odprowadzającemu go sekretarzowi. Ten nie odprawił generalistycznego powozu i po naszym odplynięciu każe się wieźć do urzędu lub raczej do restauracji na bulwarze, gdzie wiozący go powóz zwracać będzie powszechną uwagę. General również wita się z kapitanem. Oficer mówi mu, że najpewniej wkrótce po wypłynięciu w morze zaskoczy nas burza. O tej porze roku zdarza się to bardzo często w takiej właśnie kolejności. Gwałtowna nocna burza z piorunami, potem spokojny i rześki poranek, a po upalnym południu, nawrót burzy również silny jak tamten, który przewalił się w nocy. W każdym razie, tak czy inaczej, nie będziemy tym razem odkładać podróży. **GENERAL PODCHODZI DO MNIE. PROSI, ABY ZARAZ PO WYPŁYNIĘCIU Z PORTU ODWIEDZIĆ GO W JEJGO KAJUCIE. OBSERWUJĄC, JAK SIĘ USMIECHA IMRUZY POROZUMIEWAWCOZY OCZY, DOMYŚLAM SIĘ, ŻE PORANNA WIZYTA WYBRANKI MUSIAŁA BYĆ BARDZO UDANA. ZAUWAŻYLEM, ŻE NIE KRYJE SIĘ PRZED MNA Z TYMI UCZUCIAMI.** Być może, w czasie naszej podróży znajdzie się także okazja do rozważań, na czym właściwie buduje się podobna zależność dwojga ludzi, których dzieli pochodzenie, zamieszkanie, rodzaj wykształcenia, a łączy właściwie jedno — to, co jest w naszym przypadku tak ważne — pojęcie tej samej służby. Nim general uda się do kabiny mówię mu jeszcze, że figiel pana Adama, aby porwać z nami rządcą Kalusowskiego, ma, jak się zdaje, wszystkie szanse powodzenia. Wydało mi się, że obaj panowie wstąpili na pokład mocno podochocony, jak to sobie wcześniej planował pan Adam, zapraszając Kalusowskiego na śniadanie do restauracji hotelowej, a w tej chwili śniadanie trwa dalej, tyle że w jadalni na statku. Biedny zaś Kalusowski, nie podejrzewając niczego, czeka aż wezwie go do siebie pani Karolina — W porządku! — odpowiada general. — Jeden głupiec więcej w niczym nam nie zaszkodzi. — Odchodzi w głąb pokładu. Ciekaw jestem, ilu naliczył owych głupców? Myśli o Sobańskim, to pewnie, i ma po temu wystarczające poważne powody. Ale kto jeszcze ma być tym głupcem? Brat Karoliny? O nim mówiło się zwykle niewiele. Poza tym, że nie jest to człowiek zasługujący na zaufanie. W oficjalnych stosunkach z panem Henry-

ZABIJ CARA

(fragment powieści)

Władysław Terlecki

SCA POBYTU. BÓG JEST WSZĘDZIE. CAR MOŻE ZMIENIĆ TYLKO MIEJSCA SWEGO POSTOJU, CZY PRAGNIENIE TO NIE JEST WYRAZEM LĘKU PRZED ŚMIERCIĄ? Aleksander to przecież zdrowy i pełen sił mężczyzna. Ale kto, przepraszam, twierdzi, że tacy ludzie również nie miewają przecucia własnej śmierci i że pragną się od niego uwolnić stale gdzieś przed siebie uciekając? Kto stawia sobie teraz podobne pytania nad Nową? A o czym rozprawia się w Kijowie w czasie tajnych spotkań? I czy w ogóle można uciec od wydanego wyroku, o którym on sam, cesarz Aleksander, nic nie wie, choć zakłada z pewnością, że i jego losy ważą się nie tylko w ręku Boga, lecz również w umysłach jego podwładnych? Car nie znosi swoich pałaców. Nudzą go jego wspaniałe ogrody. Tymczasem w Odesie właśnie się zaczyna upalny poranek, a w porcie nasz statek przygotowuje się do rychłego wypłynięcia w morze. Po nocnej burzy niebo jest znów nieskalanie czyste, zaś nie poruszona woda w basenie portowym nie zapowiada wcale następnej nawałnicy. **JA, BOSZNAK, JESTEM JUŻ NA TYM POKŁADZIE I UKŁADAM PLAN DZIAŁANIA NA CZAS NAJBLIŻSZY.** Ubrałem się w swoje miękkie płócienne ubranie. Biała marynarka, trochę za szeroka w ramionach, luźna i nie opinająca mięśni ramion. Białe kapelusz z opuszczonym rondem. Moje bagaże zniesiono do kabiny przed godziną. W kieszeni marynarki trzymam otrzymaną poprzedniego dnia w południe urzędową depeszę, którą nadesłał mi ze Szlisselburga zatrudniony w twierdzy felczera. Oto jej tekst: „Pański Chłopaczek zmarł wczoraj o dwudziestą trzydzieści. Jego akta zostały natychmiast zniszczone. Do ministerstwa nadesłano jedynie za zezwoleniem komendanta meldunek o zgonie bez podania imienia i nazwiska zmarłego wraz z opisem jego choroby.” Powiniennem natychmiast zniszczyć tę depeszę, ale wsunąłem ją jednak dziś rano do kieszeni marynarki. Kopertę za-

całego ponurego brzegu. Słowa modlitwy odplynęły. Ludzie wrócili do twierdzy zamykając bramę. Skrzeczą mowy i wiatr szeleści w wysokiej suchej trawie. **STOJĄC NA POKŁADZIE I CZEKAJĄC NA POZOSTAŁYCH UCZESTNIKÓW NASZEJ PODRÓŻY PRZYPOMINAM SOBIE WĄSKĄ, BŁADĄ TWARZ CHŁOPACZKA Z OGROMNYMI OCZYMA, W KTÓRYCH CZAIŁ SIĘ JUŻ SILNY BŁYSK OBLEDU I MYŚLĘ SOBIE, JAK NIEWIELE MOŻEMY PRZECIWSTAWIĆ WŁASNEMU LOSOWI.** A jemu, Chłopaczekowi, los akurat podarował śmierć szybszą od długiego gnicia w lochu. I przypominam sobie, jak przekonywał mnie w czasie ostatniego naszego spotkania, kiedy wymienił już po raz któryś wszystkie znane sobie nazwiska kijowskiego spisku, że jedno jest tylko stąd wyjście. Na cmentarz poza murami twierdzy. W kamienie, o które rozbijają się wody Ładogi. Mam zupełnie suche oczy, ale jakiś ucisk w gardle dławi mnie na wspomnienie tego spotkania. Tymczasem widzę zajeżdżającą od bramy portowej dorożkę. Pan Sobański zjawił się więc pierwszy, na dobrą godzinę przed przybyciem żony, która musiała jeszcze załatwić jakieś sprawy w mieście. Przywitał się z oczekującym go na pokładzie oficerem. Spytał, czy ta noc będzie również niepokojna jak poprzednia? Na uspokajającą odpowiedź machnął tylko ręką i i udał się prosto do swojej kabiny. Wkrótce potem do przystani podjechała dorożka, z której wysiadł nieprzezuwający niczego rządcą Kalusowski w towarzystwie pana Adama obładowanego płóciennym workiem. Grubas nie chciał nawet wejść na trap, ale uległ w końcu namowom, bowiem, jak tłumaczył mu pan Adam, hrabina prosiła, żeby tu właśnie na nią zaczekał. Ma jakieś bardzo ważne zlecenia. — Statek i tak nie odplynie — uspokajał — dopóki wszyscy pasażerowie nie znajdą się na pokładzie. — I tak wszystko musi być opłacone chorobą morską — wzdychał rządcą. — Sam widok pokładu wywołuje pierwsze jej sym-

syplący zawsze jak z rękawa niestworzonymi opowieściami o własnych, najczęściej rzecz jasna zmyślonych, a i o cudzych, równie rzadko, pokrywających się z prawdą, awanturach i przygodach. **POWÓZ PRZYWOZĄCY PANNIĄ KAROLINĘ ZJAWIA SIĘ NA KRÓTKO PRZED PRZYJAZDEM GENERALA. TYLKO JA JEDEN WIEM, ŻE PRZED GODZINĄ OBA POWOZY WYJECHAŁY SPRZED TEJ SAMEJ WILLI, GDZIE PÓŹNE ŚNIADANIE PAN WITTE SPOŻYŁ W TOWARZYSTWIE TEJ DAMY. JUŻ WKRÓTCE BĘDZIE SIĘ Z NIĄ KORDIALNIE WITAŁ NA POKŁADZIE.** Nim jednak pani Karolina wejdzie na trap, przywita się jeszcze ze swoim bratem. Ten również zjawił się nieco wcześniej. Po odesłaniu lokaja z bagażem na statek spaceruje po przystani, jakby tu najwyraźniej na kogoś czekał. Rozmowa z siostrą trwa krótko, bo oto nadjeżdża powóz z generałem Witte. Pani Karolina wchodzi na trap. Wita się z oczekującym gości kapitanem. Jest tego ranka niewiarygodnie piękna. Opisy jej urody spotykałem w niektórych listach, które miałem okazję czytać nim dotarły do rąk adresatów. Pani Sobańska zdaje się mieć całkowitą świadomość swych przymiotów. Jej uroda, tak wielu ludziom wydająca się wzorem doskonałości, wyróżnia się rzeczywiście niezwykłą subtelnością rysów. Pani Karolina jest drobna, ale jej sylwetka wyraża jakąś siłę. Nie przypomina z pewnością wątlęgo kwiatu. Jest to rodzaj jakiejś wewnętrznej siły, o której tak często opowiada się nie tylko w odeskich salonach. Wiedzą o tej zlewającej tajemnicy jej wielbiciele w Moskwie i w Petersburgu. Być może znajdzie się jeszcze stosowniejsza pora, aby o tym nieklamany wdzięku powiedzieć coś więcej. Dodam więc na razie to tylko, że do mnie dama ta nie czuje najmniejszej sympatii, ale też zapewne z powodu moich bliskich związków z panem Witte stara mi się tego nigdy nie okazywać. Cóż, skoro właśnie jej oczy prawie nigdy nie kłamią! Po przywitaniu się

GABRIEL LAUB (ur. 1928 w Bochni), czeski prozaik, publicysta i aforysta, tłumacz literatury polskiej (m. in. L. Kolakowskiego i S. J. Leca). Od roku 1968 na emigracji w RFN, gdzie jako jeden z najbardziej cenionych publicystów współpracuje z czołowymi niemieckimi pismami („Die Zeit”, „Stern”). Ostatnio uprawia twórczość przeważnie w języku niemieckim.

Gabriel Laub

WOLNOŚĆ

Prawdziwą wolność mają tylko zamknięci w solidnej klatce. Są wolni, ponieważ nie muszą podejmować wolnych decyzji. Są uwolnieni od odpowiedzialności za wszystko, co się wydarzy, nie mogą bowiem na nic wpłynąć ani niczemu zapobiec. Są uwolnieni

od troski o własną przyszłość, ponieważ takiej nie mają. Są też uwolnieni od przeszłości — w klatce bowiem przeszłość nie istnieje, realna jest tylko teraźniejszość: kubek wody, wiązka siana lub kawałek mięsa.

Mogą sobie myśleć, co chcą — nie można odebrać im tej wolności — są jednak wolni od konieczności przemyśleń, ponieważ z ich przemyśleń i tak nie im nie przyjdzie.

Mają wolność wiary, że nie ma nic lepszego niż klatka — a tym samym wolność bycia szczęśliwym.

Jeśli klatka jest wystarczająco solidna, są uwolnieni od pokusy uzyskania wolności.

Są absolutnie wolni od wolności.

POMNIK

Wszyscy panowie mieli w swych miastach piękne pomniki, tylko księcia z Pipafu nie było na to stać, bo przegrał w pokera dochody z podatków na najbliższe trzy lata.

Kazał więc podzielić swe odzienie, buty, twarz oraz ręce, zlecił, by na placu zamkowym ustawiono mały postument, po czym wszedł nań i odtąd stał tam przez cały dzień w charakterze własnego pomnika. Nocą jego miejsce musiał zajmować minister kultury.

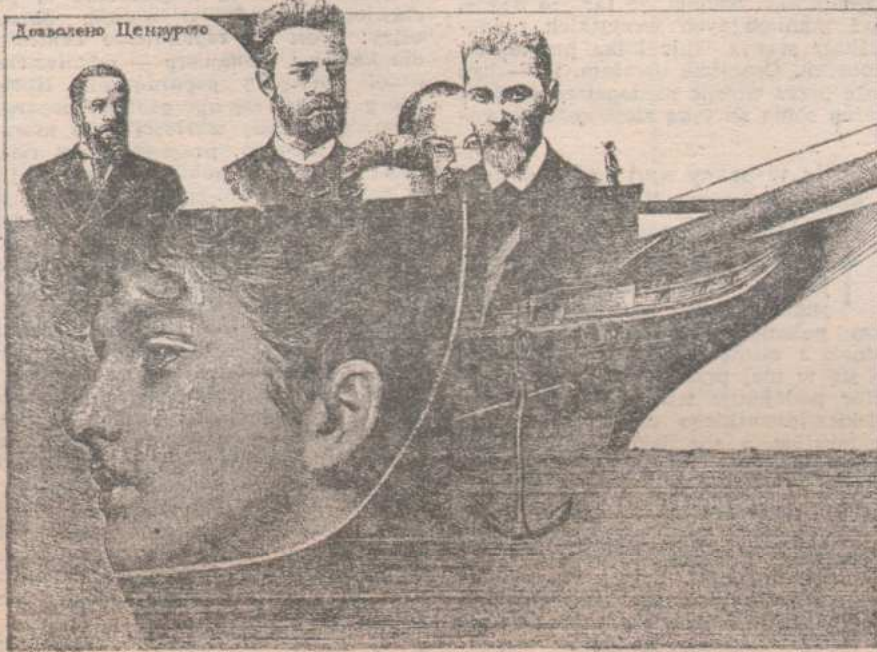
Udziałem księcia stało się wiele niemiłych przeżyć, ponieważ tylko dworzanie znali sekret pomnika i kłaniali mu się, wychwalając przy tym swego pana.

kiem general nigdy nie daje po sobie poznać, że go lekceważy w najmniejszym nawet stopniu. Przeciwnie, zawsze okazuje mu coś więcej, niż tylko życzliwość. Dla kogoś takiego jak ja, kto miał okazję poznać sposób bycia generała, stosunek taki zapowiada to jedynie, że życzliwość jest próbą zmylenia swego rozmówcy. Z czego to wynika? Być może i to uda się dokładniej wyjaśnić w czasie naszej podróży. Czyżby zatem uważał za durnia pana Adama? To jest możliwe. Zbyt gorliwie pan ten nadstakuje kochance, a pani Karolina zbyt laskawie przyjmuje te umizgi. **ZYCIE, JAKIE SIĘ TU TOCZY, TO DZIWNIE POWIKLANE LOSY LUDZI, KTÓRYCH ŚWIAT ZDAJE SIĘ PODZIWIAC. PAN ADAM JEST DLA TEGO TOWARZYSTWA PRZYBŁĘDĄ Z PODEJRZANĄ POLITYCZNĄ KARTOTEKĄ, ALE I Z POETYCKIM TALENTEM, KTÓRY UMOŻLIWIŁ MU OBRACANIE SIĘ W TYM TOWARZYSTWIE. BYSTRYM OBSERWATOROWI DOSTARCZA TO WSZYSTKO WIELU CIEKAWYCH SPOSTRZEŻEN.** Oto potwierdzenie moich przypuszczeń! Na nabrzeżu zatrzymuje się dorożka. Wsiada z niej młody mężczyzna. Szkoda, że z wysokości pokładu, na którym teraz stoję, nie widać jego twarzy. Ma na głowie szeroki, biały kapelusz. Jest to wysoki, młody, sądząc po sprężystych ruchach, mężczyzna. Wita się z panem Rzewuskim. Oba zaczynają spacerować wzdłuż przycumowanego statku. Mają sobie, widać, do powiedzenia coś ważnego, skoro do tego spotkania musiało dojść w ostatniej niemal chwili przed wypłynięciem w morze. Nim do wiem się, być może, czegoś więcej o tym przybyszu, upłynie, niestety, sporo czasu. Dyskretnie obserwując portową przystań człowiek przele mi za kilka dni zaszyfrowany list do Eupatorii. Ale i tak nie mogę być pewien, czy uda mu się ustalić, kim jest ten wysoki mężczyzna. Rozmowa nie trwa długo. Pan Rzewuski odbiera jeszcze kopertę i chowa ją do kieszeni płóciennej marynarki. Z jadalni tymczasem, gdzie pan Adam ucztuje nadal z rządcą, dochodzą odgłosy śpiewu. Po chwili i ja witam się z panem Henrykiem mówiąc, że jesteśmy, jak mi się zdaje, w komplecie. Pan Kalusowski najpewniej nie zdaje już sobie nawet sprawy z zagrożającego niebezpieczeństwa. Padają ostatnie polecenia i wkrótce statek odbije od brzegu. — Aleksandrze Karłowiczu — mówi do mnie Rzewuski — zawsze pragnęłam pana spytać, co jest właściwie bliższe pańskiej naturze: dociekliwość naukowa czy urzędnicza dyscyplina? — Zerka przy tym zimnymi, badawczymi oczyma. On także ma osobliwy wdzięk. Wiedzą coś o tym liczne jego przyjaciółki, lecz w przeciwieństwie do siostry, jest to człowiek tak bardzo oschły, że najstarsze nawet próby ukrycia wewnętrznego chłodu na nic się nie zdają. — Czasami, panie hrabio — odpowiadam bez zmruczenia powiek — szczęśliwy los pozwala, jak właśnie podczas tej podróży, dzielić te dwie powinności. — Dwie? — pyta tym samym zdziwionym tonem, w którym kryje się ślad ironii. — Ależ pan, Aleksandrze Karłowiczu, dzieli ich chyba znacznie więcej? Kiedy to zapoznaliśmy się z dalszymi losami Jakuba Skupałowa?... Pan Rzewuski już kiedyś o to pytał. Nie mógł podobno doczytać wszystkich

czterech tomów mojej powieści do końca, ale nauczył się kiedyś wybiórcej, jak to wówczas stwierdził, lektury. A to pozwala mu określać charakter czytanego utworu. — Tym razem, panie hrabio — odpowiadam — nie zasiądę do pisania... — A szkoda! — uśmiecha się. — Może i nas zaraziłby pan swoim przykładem... — Miałbym szczerą ochotę zapewnić, że z pewnością byłoby o czym pisać. Moje opowieści o losach Jakuba Skupałowa wydałyby się przy tym przyszłym czytelnikom owego dzieła mniej interesujące od wiernego odtworzenia tego, co nas czeka podczas zaczynającej się podróży. Byłem tego najzupełniej pewien, a pan Rzewuski, uważający się za poważnego znawcę pisarskiego warsztatu,

niej nie myślę — nie skończyłaby się zbyt dramatycznie. Na przykład w łochu więziennym. **ROZWAŻANIA TE PRZERWAŁ DZWIĘK SYRENY. TRAP ZOSTAŁ JUŻ SCIĄGNIĘTY Z POKŁADU I STATEK POWOLI ZACZĄŁ WPŁYWAĆ W GŁĄB KANAŁU PORTOWEGO. WTĘDY TEŻ ROZLEGŁ SIĘ TUŻ ZA MOIMI PLECAMI STRASZNY KRZYK I W OTWARTYCH DRZWIACH DO JADALNI UKAZAŁ SIĘ MASYWNA POSTAC PANA RZĄDCY.** Szarpając się z usiłującym go powstrzymać poetą krzyczał, aby natychmiast wracać do przystani. Miał zupełnie pobladną z przerażenia twarz. Wyrwał się wreszcie z objęć pana Adama i przywarł do przycumowanej na pokładzie łodzi ratunkowej. Teraz wy-

rzyłem, że chce pan biesiadować przed podróżą. Teraz wiem już — podniósł do góry zaciśnięte pięści — że cała ta podróż źle się skończy. — Oklapł nagle i zaczął się skarżyć uspokajającemu go oficerowi, opowiadając, jak to przed dwoma dniami wychodził z opery i jakaś Cyganka odciągnęła go na bok uprzedzając, że grozi mu niebezpieczeństwo. Odpędził wówczas tę babę, ale teraz żałuje, że nie wziął sobie jej ostrzeżenie do serca... Potem lekko się zataczając, zbliżył się do mnie. — Pan również, Aleksandrze Karłowiczu — ciągnął płaczącym tonem — musiał wiedzieć o tym spisku. I pana faktycznie uważałem za człowieka godnego zaufania. Dlaczego mnie pan nie uprzedził? — Nim zdołałem się jakoś wytłumaczyć, zaczął wygłaszać następną skargę. Tym razem pod adresem hrabiny. **PRZEZ CAŁY CZAS OBSERWOWAŁEM WIĘC PANA ADAMA, KTÓRY BYŁ GŁÓWNYM SPRAWCĄ OWEJ INTRYGI STAŁ OPARTY O BALUSTRADĘ I PATRZYŁ NA OD DALAJĄCE SIĘ NADBRZEŻE. JAKBY WCALE NIE DOCHODZIŁY DO NIEGO NARZEKANIA NIEDAWNEGO KOMPANA. ZAJĘTY BYŁ NAJWYRAZNIJ CZYMŚ INNYM. ZDAZYŁEM JUŻ ZAOBSERWOWAĆ U NIEGO PEWNA ZMIENNOŚĆ NASTROJÓW.** Przed chwilą oto szczerze rozbawiony, bo żart z Kalusowskim udało mu się doprowadzić do końca, stał teraz z twarzą zamyśloną, pogrążony w jakichś medytacjach, jakby żegnał kogoś, z kim się nie pożegnał w porcie, choć pewien byłem, że nikt go tam nie odprowadzał i że poza kilkoma znajomymi z Odessy, a także paroma osobami znajdującymi się w podobnej jak on sytuacji, nie miał tam właściwie nikogo sobie bliskiego. Ci zaś, których uważał tu za najbliższych przyjaciół, znajdowali się wraz z nim na odpływającym statku. Ale widać, miał jeszcze i innych przyjaciół. To i owo udało nam się ustalić. Mimo to pewien byłem, że najbliższych i najwerniejszych przyjaciół pozostawił w Petersburgu i w Moskwie. Tam również dotarła jego sława. To oni zaopatrzyli go przed wyjazdem do Odessy w listy polecające i nadal musieli o nim myśleć z taką samą czułością, jaką obdarza się tylko wybrańców bogów dzielących wspólne niepokoje i radości. Czasami także wspólne kobiety. Czarna chmura, która wysunęła się nad horyzont, zapowiadała już rychłe nadejście burzy. Oficer odprowadził tymczasem Kalusowskiego do przeznaczonych dla niego kajuty, aby położyć go na koł. Morze było spokojne. Dalo się już jednak wyczuć, że jest to cisza poprzedzająca bliski wybuch. Prawie żadnego wiatru. Czasami tylko odrywał się od niskiej fali wyraźny zapach trawy i igliwia unoszący się od brzegu dobrze jeszcze w tej chwili przez nas widocznego. **NASTROJ TAKI CZĘSTO UDZIELA SIĘ ŻEGLARZOM. SPOKÓJ JEST WIĘC ZAPOWIĘDZIĄ NIEPEWNOŚCI, TOWARZYSZĄCEJ KAŻDEJ PODRÓŻY. JEDNA Z TAKICH CHWILI, KIEDY CZŁOWIEK UPRZYTAMNIA SOBIE BARDZIEJ NIŻ KIEDYKOLWIEK, ŻE SAM JEST ZAŁĘDNIEM CZĘŚCIĄ NATURY I ŻE BUNT, JAKI WOBEC NIEJ NIEKIEDY PODEJMUJE, NICZEGO W TRWANIU TYM NIE ZMIENI BURZA WIĘC I TAK NADEJDZIE PO OKRESIE USPOKOJENIA.**



mógłby mi przy okazji podpowiedzieć najbardziej do takich okoliczności stosowną formę. Zapewne — myślę nie bez rozbawienia — najlepszy chyba byłby styl francuskiego romansu. Tylko my dwaj, nie licząc rzecz jasna pijanego Kalusowskiego, byłibyśmy drugoplanowymi postaciami tej opowieści. Zaś jej bohaterką byłaby oczywiście pani Karolina, a tuż obok pozostali uczestnicy wyprawy: z urzędu niejako pan Sobański, który w rzeczywistości jest figurą tak bezbarwną, iż trudno byłoby go opisać w stylu przyciągającym uwagę czytelnika i który grałby w tym opisie niezwykle zabawną rolę zdradzanego małżonka, wreszcie generał, którego namiętność wymagałaby już bardzo dynamicznego opisu, a także drugi kochanek hrabiny o manierach zakochanego kocura i o wielkim ponoć poetyckim talencie. Utwór taki mógłby mieć bez wątpienia nie lada powodzenie wśród petersburskich czytelników romansów, zwłaszcza jeśli opisane w nim osoby łatwo dałyby się rozpoznać. Gdyby jeszcze miałby to być utwór ukazujący i inne okoliczności naszej wyprawy, krąg ewentualnych czytelników byłby znacznie szerszy. Nie jestem tylko pewien, czy wówczas dzieło to mogłoby się w ogóle ukazać i czy moja kariera pisarska — dzięki Bogu od pewnego czasu już o

glądał całkiem żalownie. Potężną figurą wstrząsały spazmy płaczu. Zjawił się pan Rzewuski ze śmiechem starając się uspokoić lamentującego ołbrzymia. Tłumaczył, że był to wcześniej zaplanowany żart i wszyscy, także jego siostra, pragnęli, aby pan Kalusowski towarzyszył w tej wyprawie. Ponieważ zaś znana im była niechęć rządcy do morskiej żeglugi, musieli zatem uciec się do podstępów. Teraz nie ma już odwrotu. Statek nie wróci do portu. Krewni pana Kalusowskiego i jego podwładni zawiadomieni zostali o wyjeździe. Może być spokojny, że żaden krach w interesach nie nastąpi. Przeciwnie, przeżywając w takim towarzystwie, uda mu się z pewnością dopiąć innych korzystniejszych transakcji, jeśli już w ogóle musi wspominać o interesach. Ważniejsze przecież dla pana Kalusowskiego powinny być wspaniałe widoki Krymu, a i perspektywa dłuższego wypoczynku. Błada twarz rządcy nabierała powoli pijackich rumieńców. Nie zwracał uwagi na uspokajające perswazje rozbawionego hrabiego. Swoją wściekłość starał się natomiast wyładować na stojącym obok poecie. — To pańska sprawa, panie Adamie! — grzmiał. — Nie godził się drwić z kogoś, kto uważał się dotąd za pańskiego przyjaciela! To pan wciągnął mnie w tę zasadzkę, a ja uwie-

Inni, a zwłaszcza dorożkarze, którzy na zamkowym placu mieli postój, obdarzali księcia słowami powodującymi, że jego złote oblicze nabierało koloru miedzi.

Z góry paskudziły na niego gołębie, a z dołu dzieci. Gdy pewnego razu usłyszał, jak dwóch młodych ludzi wyznacza sobie spotkanie „pod złotym durniem”, poddał się.

Wniosek: pomnik powinien być z kamienia albo z innego niewrażliwego materiału.

PISTOLET

Młody pawian znalazł pistolet z dużą ilością naboju. Posiadanie pistoletu sprawiło, że wpadł na bardzo radykalne pomysły — w wypadku młodego zwierzaka nie powinno to nikogo dziwić. Zastrzelił starego przewodnika stada i sam objął przywództwo. Następnie postanowił, że ze swego stada uczyni najpotężniejszą grupę w dżungli. Najpierw chciał wytepić słonie. Okazało się jednak, że słonia nie da się zabić z pistoletu. Także lwy prędko mu udowodniły, że się go nie boją. Do węży zaś po prostu nie umiał trafić. Nie pozostało mu więc nic innego, jak strzelać do pawianów. Najprzód zastrzelił wszystkie samce, oskarżając je wcześniej o chęć przejęcia władzy nad stadem.

Samice rozstrzelał w charakterze współspiskowców, aczkolwiek bardzo mu było przykro z tego powodu i zrobił to wbrew własnej woli.

Nie mógł inaczej. Pistolet oraz polityczne wizje zobowiązują do radykalnych czynów.

NAGRODA

W pewnym kraju ogłoszono konkurs o tytuł największego mędrca. Nagroda wynosiła 3000 dukatów. Do konkursu stanęli wszyscy mieszkańcy.

Dzień później ogłoszono nowy konkurs — o tytuł największego głupca. Nagroda wynosiła 10 000 dukatów.

Wszyscy zrezygnowali z pierwszego konkursu i zgłosili się do drugiego.

Wszyscy z wyjątkiem jednego. I on właśnie wygrał owe 10 000 tysięcy.

przełożył JAN STACHOWSKI

ALMA MATER I ŚWIĘTE KROWY

(Artykuł dyskusyjny)

Jan Prokop

Szkoły wyższe to mikroświat odzwierciedlający stosunki panujące w kraju. I tutaj walczą ze sobą rozmaite lobby. Nieraz owe podziały zamąca dość sztywna i poniekąd stanowa struktura akademickich społeczności, rozwarstwionych nie zawsze w sposób odzwierciedlający rzeczywistość autorytet naukowy osób, którym wypadło zajmować bardziej czy mniej ważne stanowisko, ale pomińmy tym razem ten wątek.

Okazuje się, że nie tylko baronowie „u szczytu” chętnie zamroziliby przedwczorajszy status quo wygodny dla wielu, nie tylko oni z lekkim myśleniem o konkurencyjności wolnorynkowej. Dziś w uniwersyteckiej edukacji trudno nie dostrzec ostrego sporu różnych modeli: jeden zakłada zasadę poniekąd wolnorynkową; trywializując można by to zaprezentować tak oto: kadra naukowa występuje z bogatą i maksymalnie przekonującą ofertą wobec studenta, traktowanego nie jako podwładny PANA DOCENTA, ale jako klient, któremu, o zgrozo, przysługuje prawo przebierać w profesorskich propozycjach niemal jak w pomidorach na straganie, odmawiając kupowania towaru nadpsutego, albo zwyżczajnie — uznanego przez klienta za jemu osobiście nieprzydatny — nawet gdyby był pod różnymi pozorami wmuśniany przez władzę uczelni.

W tym modelu uznajemy studenta za osobę dorosłą

zdolną do dokonywania samodzielnych i odpowiedzialnych wyborów. Chcemy bowiem, aby młody człowiek podczas studiów przysposobił się do życia w wolnym społeczeństwie, ucząc się także podejmować inwestycyjne ryzyko, gdyż niektóre decyzje przyniosą pożytek, inne zaś okażą się kosztowną pomyłką. A więc zadaniem uczelni nie będzie zbyt natrętne przewodnictwo, prowadzenie za rękę studentów, utrzymywanych w dziecięcinieniu szkodliwą nadopiekuńczością — ale jak w dobrej restauracji przygotowanie szerokiego zestawu posiłków, bogatego menu, w którym każdy znajdzie dla siebie coś pożywnego, jednocześnie unikając niestrawności. Niestety, w tym względzie częściej trafiaamy na stołówkę, pod pretekstem racjonalnej diety wmuśniającej co dzień ten sam wodnisty barszczyk.

Stołówkowy model odzwierciedla bowiem swoistą wizję wychowania, która, przynajmniej, odwołuje się do ważkich argumentów. Wyższa uczelnia, powiada się, jest również przekazywaczem kulturowego i naukowego dziedzictwa, ma utwierdzać fundamenty wspólnej tradycji, by nie uległa zerwaniu konieczna ciągłość kulturowa. Stąd w imię owego dziedzictwa musimy narzucać wspólny kanon, niezbędne minimum, nawet, jeśli wywołuje opór. Ten poniekąd zdroworozsądkowy model edukacji oparty na niekwestionowanym autorytecie instytucji (ci co wiedzą, uczą tych, co nie wiedzą!) ma na pewno dobre strony — o czym później — ale bardzo gładko przekładał się na model totalitarny, który w mniej lub bardziej ostrej formie niszczył nas przez pół wieku, przyzwyczajając do ślepej powtarzalności i niewolniczego bezwładu, powielając w milionach identycznych egzemplarzy człowieka sowieckiego, lawirującego między konformizmem bezosobowej śrubki w maszynie a zaradczą cwaniakią.

W modelu totalitarnym źródłem autorytetu jest jednak nie — godne zachowania — dziedzictwo kultury europejskiej, ale władza komunistyczna manipulująca społeczną świadomością.

Ona narzucała własny, jednolity kanon, wmuślała ustaloną arbitralnie zasadę encyklopedycznej pseudoglobalności, w rzeczywistości dokonując zniekształceń i daleko idącej selekcji materiału. Ale, co więcej, władza utrwałała złudne przekonanie do dziś tłukące się w głowach wielu polskich uczonych, że proponowany ongiś przez ministerstwo, a dziś przez uczelnie zestaw zajęć — program — nie jest dość dowolnie, raz lepiej raz gorzej, posklejonym kolażem, można go zatem według potrzeb łatwo modyfikować, ale pozbawioną luk, niemal sakralną całością wyposażenia umysłowego w danej dyscyplinie, całością wartą utrwalenia i ustawicznego powtarzania.

Proszę spróbować usunąć jakąś cegiełkę z budowli owej świętej globalności, aby podnosiła się wrzawa gremium uznającego dany przedmiot (nawet np. wychowanie fizyczne, warto np. przypomnieć rolę porannej gimnastyki w Orwellowskim 1984!) za niezbywalny składnik uniwersyteckiej edukacji, a lukę w ten sposób powstającą za zamachem na NAUKĘ POLSKĄ.

Prowadzeni tymi kolejnymi odzwyczajiliśmy się od tradycyjnej praktyki europejskich uniwersytetów, gdzie znaczna większość prowadzonych wykładów to wykłady nie kursowe, ale monograficzne, wyrażają-

żytni razowy, a czasem rogalki... Dlatego zapewne jeden z uczelnianych baronów uskarżał się niedawno w mojej obecności, że pozostawienie studentom swobody wyboru niektórych zajęć uniemożliwiłoby odpowiednie zarezerwowanie sal, godzin, etatów etc.

Stotnie, nos zawsze powinien ulec nadrzędnym racjom tabakiery. Gdyby jednak wyszło na jaw, że nos tabakiery nie potrzebuje, że wiele wykładów nie znajdzie słuchaczy, gdyż ich problematyka nie trafia w zainteresowania i potrzeby studentów określonej specjalności, ani nie otwiera interdyscyplinarnych horyzontów atrakcyjnych dla specjalności sąsiednich, wreszcie — nie znajdzie słuchaczy, ponieważ ich poziom jest bardzo niski, a zatem szkoda na nie czasu, korzystniej zajrzeć do podręcznika? Oczywiście pojawiłby się wtedy problem redukcji nieefektywnych etatów. Niektóre święte krowy musiałyby odejść. Podobnie jak trzeba zlikwidować nierentowne gałęzie przemysłu? Hutę Katowice? Ursus? Przerzucić kapitał na inne, rentowniejsze? Gdyż

myśląc o sui generis urynkowieniu wyższych uczelni, nie da się uniknąć uelastycznienia ich struktury.



RYS. ALEKSANDER PIĘNIAK

ce naukowe credo i rezultat badań konkretnego wykładowcy, uniwersytecki program (curriculum) jest więc zawsze wycinkowy, jakoś niekompletny, natomiast ową świętą globalność danej dyscypliny poznaje się z podręczników.

Niestety, na wielu wyższych uczelniach do dziś siłą bezwładu, mimo odpolitycznienia i zlagodzenia, trwa w zasadniczym zrzębie tamten stalinowski (wprowadzony do Polski w 1949) typ nauczania, wyznaczający studentom z góry ustalony na każdy rok studiów program, wypełniany potem skrupulatnie ed usum Delphini przez wykładowców, nieraz ograniczających się do streszczania dostępnych w każdej bibliotece podręczników. Taka

centralnie sterowana (planowa!) gospodarka uczelnia produkująca absolwentów

być może nieco bogaciej niż ich zachodnioeuropejscy koledzy wyposażonych w encyklopedyczną wiedzę z przedwczoraj, za to na pewno źle przygotowanych do samodzielnego myślenia, do samodzielnego radzenia sobie z zadaniami w przyszłości, otóż takie sterowanie kwitnie do dziś, ponieważ okazało się bardzo wygodne dla biurokratyzowanej maszyny administracyjnej. Podobnie niejednego piekarza być może chwaliłoby sobie system kartkowy pozwalający wypiekać z góry ustaloną ilość bochenków miast liczyć się z karygodnie kapryśnymi zachciankami klientów, którzy raz wolą bułeczki, raz

ry, musi raczej upodobnić się do kłórowania grupą szybkiego reagowania w sytuacji zmieniającej się z semestru na semestr. Wystraszony własną odwagą wycofując się z tego tematu-tabu na tereny bezpieczniejsze...

Swoboda wyboru wykładów pozwalałaby studentom nie tylko określać indywidualnie swoje zainteresowania

ale i reagować na zmienność koniunktury na rynku pracy, przygotowując ich niejako wielokierunkowo do różnych interdyscyplinarnych krzyżówek, bardzo niechętnie, jak dotąd, ze względu na sztywność programów (polonista jest tylko polonistą, anglista tylko anglistą, historyk tylko historykiem) tolerowanych przez nasze uczelnie. Nie musiałoby to wcale prowadzić do rezygnacji z kanonu podstawowego, choć zapewne doprowadziłoby do jego kondensacji.

Zachowanie wspólnego kanonu jest rzeczywiście ważnym zadaniem szkoły podtrzymującej ciągłość kultury niezbędnej do sprawnego funkcjonowania każdej ludzkiej społeczności.

Ale utrwalając dziedzictwo należy je poddawać ustawicznej renowacji, aby owocowało, aby wiodło do rozwoju i kreatywności wstępujących pokoleń. Trudno jednak takie owocowanie i twórczy rozwój zapewnić,

jeśli do skansenu PRL, jaki stanowią niektóre szkoły wyższe, nie wdrze się jutrzeńka akademickich swobód

oświecając i wykładowców, i studentów. Ci pierwsi winni pogodzić się z konkurencyjnością wolnego rynku, którego częścią jest także nauczanie jako oferta zdobycia określonych kompetencji, kompetencji, na które jest, czy będzie, w społeczeństwie zmienna — raz większa raz mniejsza — podaż.

Trzeba tedy proponować zajęcia, które rzeczywiście, te potrzebne, a nie zawsze takie same, kompetencje pomogą zdobyć. Ich wykłady będą więc zależne od koniunktury, choć nie należy temu terminowi nadawać zbyt wąskiego znaczenia, będą oni też konkurować — bardzo to zdrowe i stymulujące własny rozwój naukowy — między sobą o klienta, jakim jest student kupujący — lub nie, nasz lepszy lub gorszy towar.

Studenci natomiast nauczą się wybierać i przebierać w proponowanej ofercie z myślą o zdobyciu nie tylko martwej wiedzy, ale umożliwiających samodzielność i kreatywność kompetencji potrzebnych w późniejszej karierze zawodowej czy naukowej.

* Na temat stalinowskiego dziedzictwa humanistyki uniwersyteckiej pisałem ongiś w „Tygodniku Powszechnym”, na temat modelu autorytarnego w wychowaniu wypowiadałem się w „Kontakcie” (Pytania na 70 KUL).

W sprawie sikania do akwarium

JAN WALC: „Architekt arki”. VERBA, Chotomów 1991

Sugestia zawarta w tytule, a dotycząca, jak to zaraz wyjaśnię, Jana Walca, nie jest w zasadzie ujawnieniem sądu negatywnego o autorze *Architekta arki*. Uzasadnięć również owo „w zasadzie”. Otóż do chuliganów, i słusznie, miewamy na ogół stosunek negatywny. Rzecz w tym, że różne bywają rodzaje chuliganstwa. Czym innym jest bijanie Bogu ducha winnych przechodniów, czym innym jest chuliganstwo salonowe. W wypadku książki Walca mamy do czynienia z tym drugim...

Przy czym jest to forma chuliganstwa dość w swojej istocie łagodna: Walc nie biją, najwyżej jak jeden z bohaterów *Manipulacji Iredyńskiego*, sika do akwarium, a sika, gdyż chce okazać swój bunt przeciw drobnemu mieszcuchowi. Być może teraz w ogóle w Polsce nastał czas sikania do akwariów, tak przynajmniej się zdaje podczas lektury czasopisma „brulion” czy oglądania innych „szokujących” naszą publiczność — a bardziej niż publiczność elity artystyczne wroście w bogoczyźniany klimat życia artystycznego ostatnich dziesięcioleci — działań paraartystycznych i pseudointelektualnych. Nic w tym zdrożnego — tym bardziej, że w akwariach nie ma rybek — a może i rzeczywiście taka działalność jest dziś potrzebna, choć tego tak całkowicie pewien nie jestem. Ale cóż — czasy są przejściowe, zwiększenie zaś spożycia dostępnego na rynku piwa zmusza do sikania, o czym wiedzą niewątpliwie zwycięzcy ostatnich sejmowych wyborów, reprezentujący PPPP.

Zanim jednak zmienimy parlament na browar

co wydaje się zresztą wspaniałym nawiązaniem do arcy polskich tradycji narodowych i kryje głębsze niż się to na ogół wydaje sensy społeczne, pozostał przy *Architekcie arki* czyli *Wieszczu*. Książka Walca bez wątpienia — wyobrażam to sobie — poruszy tłum douczonych polonistów i być może, poza karceniem niesforne autora, pobudzi do zastanowienia się nad stanem narodowej kultury. Rzecz bowiem nie w tym, że Walc „świętości szarga” i nie w tym, że czyni to — o czym później — w sposób daleki od przyjętych nawet przez Boya zasad (bo przecie dopracowaliśmy się w tym naszym grajdole nawet zasad szargania świętości). Rzecz w tym, że ta mała w gruncie rzeczy książeczka stawia kilka bardzo ważnych pytań, które mogą ująć uwagę zaciekłych polemistów, bardziej zajętych obroną godności humanistyki obrażonej niestosownym traktowaniem akwarium w jej salonie niż czytaniem tekstu. A teksty należy czytać, jeśli się już książkę do ręki bierze, szczególnie zaś wtedy, gdy się o niej pisze. Chuliganów należy traktować poważnie, gdyż w swych zachowaniach ujawniają — często w sposób nieporadny — że jednak coś im na sercu leży. Inaczej rzecz ujmując: chuligan też człowiek i należy go wystąpić, by pomóc sobie samemu.

Tak jest i w tym wypadku. Książka Walca świetnie nadaje się do tego, by potępić autora. Tyle tylko, że autor i tak nie sobie z tego nie robi, a postawione w tekście problemy — ważne i wymagające dyskusji — leżą sobie odlego, co dla humanistyki weale dobre nie jest. Sporo w tym winy samego Walca, który czyni wszystko, by uczonych w piśmie do siebie i swojej książeczki zrazić. Książka jest bowiem agresywna w podwójnym sensie: pierwszy można ująć w formule „ja wiem lepiej niż te wszystkie uczone profesory” (można to nazwać — przy całym szacunku dla poważnego zawodu — „perspektywą babci klozetowej”), drugi dałoby się określić jako — delikatnie rzecz ujmując — „stylistykę

felietonową”. Pewna siebie, często wręcz obraźliwa i arogancka postawa wobec polonistów w ogóle, mickiewiczologów zaś w szczególności czyni raptownie tym, że zamiast ich zainteresować tym, co ma do powiedzenia, autor napuszcza ich na siebie samego, prowokując do poszukiwania błędów, uproszczeń i luk, których zresztą w tekście nie brakuje, jest więc w co przyładować. Szkoda, że tak się dzieje, gdyż pomimo tych wszystkich niedostatków stawia Walc kilka problemów istotnych. Osobiście uważam, iż — być może przez własne niedopatrzenie, jeśli można sobie na taką złośliwość pozwolić... —

Walc w pracy nad tą książką poczynił szereg intelektualnie płodnych spostrzeżeń.

Tu od razu muszę się zastrzec: nie jestem mickiewiczologiem, nie jestem nawet zbytnio przeuczonym polonistą. Książkę tę czytałem jednak z zainteresowaniem. Spodobało mi się w niej przede wszystkim to, że autor podejmuje trud interpretowania Mickiewiczowskiego dzieła jako zbioru tekstów, a nie jako emanacji życia Mickiewicza. To bardzo trafne podejście — każdy, kto miał z Mickiewiczem do czynienia w szkole (a to znaczy: każdy), musi pamiętać, jak to życie Wieszczu służyło do interpretowania jego utworów. I gdy uświadomiłem sobie, że Walc ma rację mówiąc, iż twórczość Mickiewicza poprzedza jego okres mistyczny, że potem mianowicie Wieszczu nie pisywał i że cała jego pisarska działalność to raptownie kilkanaście lat, pomyślałem sobie, że nauczycielom taka konstatacja zrobiłaby bardzo dobrze. Tu nie chodzi o to, że co zdaje się Walca lubi Stefan Bratkowski, a mianowicie, że Mickiewicz nie tylko Wieszczem był, lecz także człowiekiem trzeźwo myślącym. Chodzi o to, by teksty interpretować jako teksty właśnie; jako mianowicie utwory literackie. I choć nie każda taka interpretacja Walca mnie przekonuje, to przyznam, że pomysły takiej lekcji *Dziadów*, w której przynajmniej fragmenty III ich części potraktowane zostaną jako komedia czy farsa, wydaje mi się interesujący, choć zapewne Ryszard Przybylski bardzo na mnie nakrzyczy i w dodatku (ze swego punktu widzenia) będzie miał rację. (Swą drogą interesującą, kto teraz wyda jego analizę *Dziadów*, skoro dotychczasowi wydawcy padli pod ciosami rynku, a na poważne książki brak pieniędzy w wydawnictwach zwykłych! Postuluje, by „za karę” zmusić do tego wydawcę Walca czyli firmę „Verba” — niech dba o równowagę!).

Trafnie wydobyl Walc jedno — i tu, jak sądzę, nie powinno być większych sporów: *Musimy przeciwko stwierdzić, że rozpoczynający polski romantyzm tomik Mickiewicza nie był swobodną ekspresją osobowości poety, ale rezultatem pracy, lektur, przemyśleń — słowem, że wiersze w nim zawarte pisane były wedle reguł par excellence klasycznych*. Wykreowanie romantyzmu przez klasycyzm — a wystarczy uważnie odczytać *Odę do młodości*, by się przekonać o słuszności tej interpretacji — ma jednak pewne poważne konsekwencje, o których niestety Walc nie pisze, nabijając się jedynie, skądinąd słusznie choć nieelegancko, ze słynnej sinusoidy Krzyżanowskiego (tu bardzo proszę, by „Verba” w przyszłości dołożyła wysiłku i przy wydawaniu książek tego typu zapopatrywała je w indeksy osób!). Cała ta

odwieczna polska dychotomia „klasycyzm-romantyzm”

(nie tylko polska zresztą) wydaje się dziś psu na budę potrzebna, w każdym razie nieprzydatna jest w poważnych rozmowach. Ja osobiście już od dawna posługuję się na swój użytek przeciwstawieniem „kultura-barbarzyństwo” i wielką część tego, co ukryte jest pod kryptonimem „romantyzm”, po prostu liczę w dzieła kultury wie-

dząc zarazem, że barbarzyńcy i tak wyjdą spośród nas; przykładem autor *Architekta arki*, który nie tyle podejmuje dyskusję, co pokrzykuje z pełnym poczuciem posiadania wyłącznej racji. I właśnie ta postawa nie pozwała mu pójść głębiej i wówczas, gdy dokonuje ważnych skądinąd oraz efektywnych konstatacji, rozumieć samemu ich konsekwencje.

Tak też jest i z innym problemem, który Walc w swej książce postawił w tytule drugiego rozdziału: *Spoleczne i prywatne*. Pisze zresztą o tym już wcześniej, lecz tu zagadnienie to postawione zostaje w sposób bardzo ostry: „*Jest to zagadnienie centralne dla każdego humanisty — odnalezienie drogi pomiędzy pogardą dla tłumy, którą wydaje się być godnym pogardy, pogardą w imię wartości — a moralnym nihilizmem, przyznawanym tylko sobie — i tylko sobie!*”. Zupełnie jak w zabawie „cieplo-zimno”: Walc krąży wokół ważnego problemu, lecz nie potrafi go precyzyjnie nazwać. I tak dobrze, że go stawia, zwłaszcza w zdaniu, w którym omawia postawę Gustawa: „*Stworzenie postaci Gustawa jest właśnie próbą zrozumienia błędnej jednostki, może nawet próbą usprawiedliwienia postawy umarłego dla świata, ale nie zachwalaniem takiej postawy!*”. Tak, stworzenie postaci Gustawa jest problemem pewnych intuicji dotyczących postawy intelektualisty w zmieniającym się świecie. Jest też problemem reakcją humanisty na zjawisko „tłumu”. O tym zresztą jest cała *Nie-Boska komedia*, żeby przy najbardziej ostro choć intuicyjnie stawianym ten problem dziele polskiej literatury pozostał.

O co chodzi? O — by wyrazić się słowami Peipera — „*zmieniającą się skórę świata*”, świata, w którym stosunek jednostka-społeczeństwo wystawiony został na nową próbę; w tym też, oczywiście, stosunek intelektualisty do społeczeństwa.

Cały problem „ludu” i ludowości

który tak wielką rolę odgrywa w debiutanckim tomie Mickiewicza jest wyrazem tego kryzysu. Kształtują się bowiem w tym okresie struktury, w zasadniczy sposób zmieniające konsystencję owego „tłumu”, o którym wspomina Walc. Kształtuje się coś, co dzisiaj otrzymało nazwę społeczeństwa masowego. Tu gdzieś należałoby szukać sedna problemu, który ledwo dotknięty został w książce Walca, a który w interpretacji nie tylko Mickiewicza, lecz całej literatury okresu romantycznego, wydaje się niezwykle ważny. Poetycka intuicja — a o niczym innym nie może być w tym wypadku mowy — nakazywała twórcom tamtego okresu, zwłaszcza wobec doświadczeń Rewolucji Francuskiej, choć nie tylko wobec tych doświadczeń, postawić pytanie o nowy typ zależności jednostka-społeczeństwo. „*Był jednostki jest dla Mickiewicza o tyle sensowny, nie nadaremny, o ile jest związany z bytem zbiorowości!*” — pisze Walc. Rzecz w tym, że ów „był zbiorowości” stał się w tym okresie zupełnie nową jakością. Nową, ale nie nazwaną, nie do końca rozpoznaną: po dzień dzisiejszy zresztą mamy z tym nowym bytem problemy. I jeśli czytam w książce Walca, iż „*bardzo to charakterystyczne, że to, co społeczne, zostaje przez Mickiewicza postawione w miejscu zarezerwowanym zwyczajowo dla tego, co boskie!*”, to co prawda nie zgadzam się z tą interpretacją — Mickiewicz naprawdę wiedział, jaka jest różnica między wymiarem boskim i ludzkim — ale zarazem wiem, że w tym zdaniu naprowadza Walc na trop problematyki niezwykle istotnej w odczytywaniu twórczości autora *Pana Tadeusza*. Można, jak Walc, zredukować ów czas — pierwszą połowę XIX wieku — do triumfalnego wkroczenia na scenę mieszczaństwa, lecz to tylko powtarzanie znanego skądinąd schematu. Wtedy właśnie rozwija się na dobre szkolnictwo publiczne, pojawia prasa i literatura przeznaczona nie tylko dla elit, powstają korzenie europejskich nacjonalizmów i masowych ideologii: ten zespół zagadnień jest istotny i, jak się zdaje, można jego obecność w twórczości Mickiewicza wyka-

zać. Chcąc nie chcąc Walc te trzy nazwane w mojej recenzji problemy postawił: wymóg czytania twórczości Mickiewicza jako tekstu, obecność problematyki społecznej jako czynnika ważnego dla tego pisarstwa oraz uformowa-

nie romantyzmu przez klasyka. Myślę, że to niemało. Rzecz w tym, że uczył to bardzo powierzchownie. I tak być musiało.

Ta książka to ledwie zbiór notatek do właściwej pracy

Można, oczywiście, ulegać złudzeniu, iż da się napisać o Mickiewiczu w paru zdaniach, lecz jest to złudzenie niebezpieczne. Zresztą, w trakcie lektury *Architekta arki* odniosłem wrażenie, że po dwóch pierwszych rozdziałach autor zrezygnował z prawdziwej pracy, zaczął zajmować się zaś pisaniem felietonu, w którym wymóg pogłębianych analiz i udowadniania też można sobie darować. Dość zabawną jest podstawaowa teza książki mówiąca, że „*recepta tekstu może być zgodna z intencjami jego twórcy!*”: przyznam, że nie bardzo wiem, co to takiego owe „intencje twórcy” i skąd się o nich Walc dowiedział — na szczęście jest to dla tej książki problem marginalny.

Książkę Walca zapewne gruntownie omówią i być może też wykipią specjaliści. Ja chciałbym zwrócić tu uwagę na pewne uproszczenia interpretacyjne, jakim autor w trakcie pisania ulega. Przykładem — jednym, który przywołam — to udowadnianie zakorzenienia *Sonetów krymskich* w rzeczywistości Litwy i Polski poprzez odwołanie się do motto z Goethego. Przekładanie Goethego jest zadaniem dość niewdzięcznym, czego chyba nie trzeba tu dowodzić. Walc słowa „*Wer den Dichter will verstehen, / Muss im Dichter's Lande gehen!*” tłumaczy jako „*Kto chce pisarza zrozumieć, musi iść do jego kraju!*”. Otóż nie „pisarza”, lecz „poetę” i nie do „jego kraju”, lecz do „kraju poety”. Brzmieć to więc winno: „*Kto chce zrozumieć poetę, musi iść do poety kraju!*”. Niby bez znaczenia, lecz w innym tłumaczeniu przywołanym przez Walca zwrot „*Kto chce zrozumieć poetę, musi iść w kraj poezji!*” przemienia się w zdanie mówiące, że „*kto chce zrozumieć poetę, musi iść do kraju jej powstania!*” — a to już ostre naddanie znaczenia. Goethe nie przypadek powtarza słowa „poeta” i „poezja”: ten majster — by nawiązać do poetyki książki Walca — naprawdę wiedział, co robi. Gdyby chciał powiedzieć, że mam iść do „jego kraju”, zamiast do „kraju poety” oraz „do kraju jej powstania” zamiast do „kraju poezji”, byłby to właśnie powiedział. Powiedział co innego i nie ma powodu, by mu wkładać w usta wygodną dla interpretatora wykładnię. I jeśli tych właśnie słów użył Mickiewicz jako motto do *Sonetów krymskich* — a zapewne znał on język niemiecki lepiej niż Jan Walc — to odsyłał do krainy poezji, a nie na Litwę i do Polski.

Analiza Walca jest zatem tyleż efektywna...

co oparta o pewne — nazwijmy to tak — translatorskie przejęczenie. Nie wchodzimy w intencje, które na ogół są nieodgadnione — trzymajmy się, jak chce tego Walc, tekstu: to w zupełności wystarczy.

Inkrustowanie tekstu złotymi myślami w rodzaju „*Historią rządzą prawa za trudne na generalnie umysły!*” (a de Gaulle? — by pozostać przy jednym przykładzie) lub opiniami w rodzaju — o carze Mikołaju I — „*godziłoby się nazywać go Wielkim Językoznawcą!*”, mówienie o „*Anschlussie Lidy!*”, to wszystko (a to przykłady dość przypadkowo wybrane) zaświadcza o jednym: o przedkładaniu efekciarstwa nad pogłębianą pracę interpretatorską. Płytkość sądów jest zresztą cechą charakterystyczną całej tej książeczki. Oto kolejne takie zdanko: „*Wyobraźmy sobie ze dwa, trzy pokolenia wychowane na «Ziemiaństwie» Koźmiana — już by nas nie było!*”. Czegoś tak przeraźliwie płaskiego nie wymyślił nawet ten, kto zna ukraińskie stopy. I muszę przyznać, że nie dość Koźmiana w szkole — właśnie w tym zdaniu najpełniej daje o sobie znać: widać tu ową niebezpieczną dla polskiej literatury tendencję do jej politycznej samoredukcji. Gdy się wie, że w każdym zdaniu ma się rację, wtedy już nie trzeba myśleć. Walc, trzeba to powiedzieć w obronie przed jego krytykami, wysiłek myślenia podejmuje. Rzecz w tym, że szybko się zmiecha. A szkoda.

Leszek Szaruga

Od świata nie przedstawionego do umysłu niezniewolonego

— i co dalej?

ADAM ZAGAJEWSKI: „Dwa miasta”, Oficyna Literacka, Kraków 1991.

Wydanej przed kilkoma laty książce *Solidarność i samotność* zwierzył się Adam Zagajewski z chęci napisania *Niezniewolonego umysłu*. Miała ta książka być takim *Umysłem zniewolonym à rebours* i opowiadać „o ludziach niezależnych, o tych, którzy nie zaakceptowali stalinowskiej cywilizacji”. Bohaterami — należy rozumieć — byłoby ludzkie protesty, ludzie przechodzący przez życie ze słowem „nie” na ustach. Jednocześnie pojawiła się w tym bardzo rozrachunkowym zbiorze, jakim niewątpliwie jest *Solidarność i samotność*, zdecydowana niechęć do negacji, do słowa „nie”. Widziane jest to słowo przez autora jako odrzutka (antytalitariana), sama następnie wymagająca odrzucia. Odrzucie, zdrowie, normalność, to — śladem dawnych mistrzów — powiedzenie „tak” — światu, życiu, istnieniu.

Można zatem mniemać, że ów intelektualny projekt uwiecznienia siły sprzeciwu przeobraziła się w apologię wolnej myśli. Może więc być *Niezniewolony umysł* zbiorem sylwetek, ale może także stać się dekalogiem wyobraźni wyzwolonej.

Najnowsza książka Adama Zagajewskiego — *Dwa miasta* — z pewnością nie wcieliła w druk żadnej z tych możliwości. Wraca w niej natomiast wątek „nie” i „tak”. Myśl wyrwana — ale nie bezprawnie — z kontekstu, wyraża to następująco: „Wiem za to dobrze, że nieś w sobie zarazem głośne nie i głębokie tak jest czymś niewiarygodnie trudnym, w zasadzie niemożliwym, skazanym na klęskę” (s. 90). I właśnie ta klęskowa sprzeczność staje się osnową (jeszcze nie solą!) *Dwóch miast*. Wiele projektów, idei, tendencji — ledwie wybrzmiałych — zestawionych, startych ze sobą, współtworzy stop o nie zbadanej strukturze. Biednie w *Dwóch miastach* nie tylko dawne zaangażowanie (które przycichło już w *Drugim oddechu*, a ostro zostało zanegowane w *Solidarności i samotności*), ale i jaskrawość ocen, jak choćby wobec Nowej Fali, potraktowanej tu z całą pobłażliwością.

Dwa miasta stoją na antypodach młodzieńczych buntów i programów, już w strefie trudno wyrażalnej intuicji o wrodzonej sprzeczności świata. Władzę nad tymi sprzecznościami zdobywa Zagajewski jakby w myśli przesłanki, że wszystko może być wszystkim.

Interesującym przykładem owej władzy jest powstały „dwutekst” sąsiadujących ze sobą opowiadań: *Zdrada* i *Z. do A.*

Bohaterem *Zdrady* jest pisarz z wieloletnim i obfitym dorobkiem, ale oportunistą, autor szkodliwych tekstów o kulturze i wierszy o Stalinie, spłamiiony nieumyślną winą cudzego samobójstwa. Zagajewski chce, aby taki ktoś powiedział wszystko co tylko da się powiedzieć. W tym celu wykorzystuje konwencję monologu wypowiedzianego w obecności drugiej osoby. Jak w *Upadku Camusa* i wielu naśladowanych go tekstach. Wywiad przechodzi tu w spowiedź, a ta nieoczekiwanie zmienia się w obronę! Obrona ta jest inteligentna, ale żeby była przekonująca, powinna rehabilitować i innych grzeszników. Tymczasem winowajca pozwala sobie na atak: „Żadna zemsta opinia publiczna przysłała pana do mnie, wysłali pana ci poczciwi inteligenci, którzy dzięki swej błogiej anonimowości mogą skupić swą złość na mnie, jako że ich uniwersalne tchórzostwo nie pozostawiło żadnych śladów” (s. 64).

Zrezygnując przekwalifikowuje paragraf, z którego odpowiada: „Ale pan nie dostrzega mojej prawdziwej zdrady, wobec świata a nie wobec obywateli. (...) Oto jestem starym i miernym literatem, a mogłem być jak Petrarca. Widziałem ogień. Żał mi nie tylko siebie, żał mi świata, który stracił pieśń” (s. 66).

A więc swojski „sędzia-pokutnik” nie tylko rozrzęca się, lecz ma się za kogoś lepszego w tej konfrontacji z młokosem. Zagajewski nie pozostawił młokosa bez szans, choć atuty tej postaci są po trosze komiczne: filologiczna pedanteria, bibliograficzna skrupulatność i mania poszukiwania prawdy. Tacy nie dają za wygraną, młokos pisze list do pisarza. To jest *Z. do A.* — w którym nie bawi się już w ceremonie i nie poddaje się cudzej minoderii. Piśze wprost: „Pan jest mężczyzną i obywatelem, nie tylko wyobraźnią. (...) I tutaj zawiódł Pan kompletnie, jako mężczyzna, mąż, człowiek” (s. 76). Tak więc młokos górą? Lekcja tego dwutekstu wcale nie jest jednoznaczna. To nie młody jest protagonistą autora. W świetle rutynowego postępowania interpretacyjnego, jest nim — stary. Ze swoim oddzieleniem człowieka

estetycznego od realnego i z poezuciem zdrad wyższych niż zdrada człowieka. Myśląc bez demagogii: raczej są po obydwu stronach, a raczej dziwnie się splątały. Bezradna wobec nich jest najwytworniejsza nawet literacka orkiestracja.

Poznawczym nadziejom monologu, dialogu, polifonii — przeciwstawia się tu postulat samopoznania. Najpierw „mieć siebie” — oto warunek poznania i oceny świata. Tak w przybliżeniu można odczytać zamiar tytułowego tekstu *Dwóch miast*.

W autobiograficzny szkic poświęcony jest niezwykle żywotnemu fantomowi Lwowa, Gliwicom — gdzie pisarz spędził dzieciństwo, a także Krakowowi. Szkieletem tym można się zachwycić. Postada solennosć Bildungsroman i urok prywatnego kajetu. Przymus chronologii w opowiadaniu rekompensuje Zagajewski kunsztowną dygresyjnością o prawdziwie filozoficznym i socjologicznym znaczeniu *Dwa miasta* są jednogłosowe, mówią wprost, są czystą poezją, choć z leciutkim nalotem ironii. Nie jest wykluczone, że tak wielką wartość mają *Dwa miasta* dla wszystkich gliwickich, bytomskich, gdańskich, wrocławskich lwowian: i że bez repatriacyjnego rodowodu, bez zapamiętanych kufrow stamtąd, prostych, drewnianych skrzyń, oczekujących przez lata na powrót do Lwowa, że bez tego wszystkiego, trudno tak bez reszty oddać się lekturze w zachwyceniu. Ale ten mit musiał być opowiedziany również przez kogoś, kto — jak pisze Zagajewski — opuszczał Lwów jako czteromiesięczny ssak.

Poza emocjami lektury, poza niewątpliwą urodą literackiego wypowiedzenia i poza ciężarem gatunkowym filozofującego eseju, pozostaje pewna drażniąca luka. Swoje stawianie się — ludzkie i artystyczne — traktuje Adam Zagajewski bardzo serio. I żeby tak to było odczytane, wie, że musi zaryzykować nawet śmieszność. Musi się śmiać z siebie i dystansować wobec swego talentu. I tu Adam Zagajewski okazuje się nie nazbyt hojny. Konstruuje obraz dojrzewającego chłopca, inteligentnego i bystrogo, który jeśli się ośmieszal to besserwisterstwem, jeśli grzeszył — to nabyciem nielegalnie zdobytych płyt, bo już wpisane się do ZMS — Boże, uchowaj! — to dla żartu!!! A gdzie „niebo w płomieniach”? Gdzie doskwierający wstyd małych i wielkich kompromitacji, gdzie zaniechania i zaniedbania, gdzie te wszystkie bolesne miejsca każdej dużej biografii?

Naturalnie, nie ma przymusu robienia z siebie Stawrogina ani nie ma konieczności spowiedzi, nawet gdyby tym Stawroginem się było. Ale skoro oświadcza się w konkluzji:

„Jako człowiek, jako charakter, jestem i silny, i słaby. (...) Należę do tych, którzy się myślą” (s. 39), to należy się zgodzić z cyflicznymi podejrzeniami, że wewnętrzne archiwa Adama Zagajewskiego nie zostały otwarte. I jeśli taka jest decyzja twórcy pisarza (nie on jeden z wybitnych, którzy bronią wewnętrznej selekcji), to jednakże trzeba się zgodzić z następną konsekwencją takiej decyzji: w tej poetyce każdy bilans jest dodatni. Każdy bilans jest bilansem urody. Wystudiowana i wystylizowana mieszanina dystansu i chłodu.

Początek Adama Zagajewskiego jest niezbyt elegancki, a też trochę niesprawiedliwie. Dla każdego kto pamięta natchniony szkic *Flamenco* (z *Solidarności i samotności*) jest jasne, że tam gdzie artysta rozpoznaje się w świecie — znikają ostantacyjne przemilczenia. Znikają hamulce. Jako widz *Carmen Saury*, staje się Zagajewski — samym nerwem zazdrości. Te zasady wypowiedzi poprzez świat czy w tłumaczeniu na świat, realizuje Zagajewski w specjalnej formie.

Dwa miasta, podobnie jak *Solidarność i samotność* — *Małego Larousse’a* — zawierają *Nowego Małego Larousse’a*. „Larusy” Zagajewskiego stanowią miniatury narracyjne od przypowieści po doskonale, znamionujące lekturowy maksymalizm, szkice interpretacyjne. Geste od aforyzmów streszczają efekt niepospolitości ducha i twórczego ryzyka. Przemawiają nie wprost, nie w anegdocie z kluczem, ale poprzez intelektualny paradoks, poetycką pointę, zamyślenie i sarkazm nawiasów.

A tak nawiasem mówiąc, napisał kiedyś Adam Zagajewski w recenzji z *Apokryfu rodzinnego* Hanny Malewskiej: „Badanie własnej tożsamości, sondowanie historii, wynika ze słusznej wiary, że przeszłość nas określa, zabarwia nasze myśli i kieruje naszymi gestami. Nie do końca, bo nie jesteśmy automatami. Ale nie jesteśmy także rezultatem jakiejś czystej, kapryśnej projekcji ducha. Nie myśl nas stwarza, lecz historyczny los”.

Czyżby?

Nagrody im. Georga Trakla

Austriacki Konsulat Generalny w Krakowie ufundował w bieżącym roku Nagrody im. Georga Trakla, przeznaczone dla polskich poetów. Literacka NAGRODA GEORGA TRAKLA w wysokości 25 MILIONÓW ZŁOTYCH przypaść miała autorowi lub autorce wybitnej książki poetyckiej lub jej drukowanemu odpowiednikowi, przy czym pierwszeństwo miały mieć dzieła inspirowane przez poezję G. Trakla lub jej pokrewne.

Do Literackiej Nagrody Promocyjnej Georga Trakla 1991, która wynosi dziesięć milionów złotych, stanąć mogli wszyscy poeci, którzy by nadesłali przynajmniej dziesięć wierszy, opatrzonych godłem i zaklejoną kopertę z nazwiskiem autora.

Konsul Generalny dr EMIL BRIX, powołał Jury Nagród w składzie: WISŁAWA SZYMBORSKA, prof. DOBIJA-WITCZAKOWA, prof. MARTA WYKA, doc. KRZYSZTOF LIPIŃSKI i prof. JAN BŁOŃSKI. Zapoznano się ono z 59 publikacjami, zgłoszonymi do nagrody oraz z 87 zbiorami wierszy zgłoszonymi do nagrody promocyjnej.

Jury, obradujące pod przewodnictwem prof. Błońskiego, stwierdziło, że wśród wybitniejszych publikacji, które by mogły ubiegać się o nagrodę, nie ma takich, które by czerpały inspirację z twórczości Georga Trakla lub były z nią spokrewnione. W tej sytuacji jury postanowiło przyznać nagrodę JULII HARTWIG za tom *Obcowanie*, uznając go za najdojrzały i najbogatszy artystycznie spośród nadesłanych.

W czasie dyskusji jury brało również pod uwagę zbiory wierszy: Krzysztofa Koehlera, Janusza Koryla, Krzysztofa Lisowskiego, Bronisława Maja, Marcina Sendckiego i Sergiusza Sterny-Wachowiaka.

Wśród nadesłanych wierszy autorów ubiegających się o nagrodę promocyjną jury uznało za najwybitniejszy zbiór sygnowany godłem „M”. Po otwarciu koperty z godłem okazało się, że jego autorem jest MARCIN ŚWIETLIŃKI.

Wśród kontrkandydatów jury brało również pod uwagę utwory oznaczone godłami „Mikołaj” i „Marek Kamiński”. Po otwarciu kopert okazało się, że pierwszy jest pióra Marcina Barana, następnym zaś — Roberta A. Kasprzyckiego.

Julia Hartwig

SPOTKANIA

dedykowane Z.B.

Spotkanie i rozmowa z Michaux na ulicach Buenos Aires którą Borges zapamiętał jak intensywną muzykę i na ulicy Saint Jacques spotkanie Allana Ginsberga z tymże Michaux którego przywołał przez jezdnię Corso okrzykiem: Ej Henry!

Spotkanie żywego poety z żywym poetą pod drapieżnym spojrzeniem śmierci

Kiedy się spotykali byli już sobie znajomi Znali swoje krajobrazy stworzone pamięcią i wzruszeniem i znajdowali upodobanie w swojej odmienności zbuntowani przeciw jałowemu uprawom martwych wierszy do których nie próbuje nawet dotrzeć słońce Ach jakże tajemniczą rzeczą jest wiersz żywy! Nie do naśladowania jest w nim kołysanie się drzew

poruszanych wewnętrznym oddechem i nieregularny bieg wody uderzającej jakby w takt serca cała ta wstydliva intymność o której wprost mówić nie uchodzi

Kiedy więc spotykali się przypadkiem mieli prawo czuć się zażenowani Michaux pożyczyl po prostu Ginsbergowi kilka tysięcy franków na zapłacenie komornego Z Borgesem zaś mówili być może o niesymetrycznym układzie wszechświata w każdym razie nie o tym

(z tomu „Obcowanie”)

Mała fenomenologia autorytetu

(CD. ZE STR. 1)

poprzez odniesienie do określonych wartości moralnych. Dotykamy tu rzeczy niezwykle ważnej: pojęcie autorytetu, każdego autorytetu (nie tylko autorytetu moralnego, o którym za chwilę), implikuje moment wartości. Wydaje się, że chodzi tu przede wszystkim o dwie wartości moralne: prawdę i odpowiedzialność. Pierwsza przejawia się w wypowiedziach sądach: autorytetem nie może być nie tylko ktoś, kto kłamie, ale nie może być nim nikt, kto prawdą nie żyje. Pod tym względem autorytet musi być jak opoka: nie wolno mu zawieść, nie wolno powiedzieć, że wie, gdy nie wie lub gdy nie jest pewny. Jego sąd, jego opinia muszą cechować się pewnością, wynikającą zarówno ze znajomości faktycznego stanu rzeczy, jak i najgłębszego przekonania. Z tym właśnie idzie w parze poczucie odpowiedzialności: odpowiedzialności za głoszoną prawdę i za tych, którzy na nią czekają. Sąd autorytetu musi być sądem autonomicznym i niezawisłym od innych autorytetów, nie może liczyć się z poklaskiem ani nawet uznaniem dla jego wartości. To, co obiektywnie posiada i czym, a raczej kim jest naprawdę, zawdzięcza sam sobie. Czyni, co czynić powinien i głosi, co wedle najgłębszego przekonania uznaje za słuszne. Zgodnie z etymologią słowa, jest istotnie pomnożycielem wartości i autorem: w pierwszym rzędzie autorem — twórcą samego siebie i realizatorem warunków tych wartości, które pozwolą uznać go za autorytet. Sam jednak od potrzeby tego uznania jest wolny i o nie w żaden sposób nie zabiega. Ale też to właśnie nie przeszkadza, lecz — przeciwnie — pomaga w uznaniu go za autorytet. Dochodzimy tu do szczególnego paradoksu: otóż owa niezależność od uznania brana jest pod uwagę i akceptowana w akcie uznania. Inaczej: uznanie za autorytet akceptuje to, że sam w sobie nie potrzebuje on uznania, jest wobec niego transcendentny.

Język zna dwie formuły, wyrażające istnienie autorytetu: „mieć autorytet” i „być autorytetem”

Wydaje się, że odzwierciedlają one różne stopnie zespolenia znanstwa czy umiejętności z wartościami osobowymi. Jeśli mówimy, że ktoś „ma autorytet”, przypisujemy mu go z pewną ostrożnością, obawiając się niejako, że nie jest to jego cecha bezwzględna i trwała, a więc, że może ją nawet utracić. Posiadanie autorytetu jest oczywiście w danych okolicznościach faktem, ale właśnie okoliczności muszą być brane pod uwagę, gdy fakt ten chce się bliżej scharakteryzować. Powiedzieć o kimś, że „jest autorytetem” znaczy znacznie więcej: wszelka ostrożność jest tu niepotrzebna, zastrzeżenia — zbyteczne. „Być autorytetem” znaczy być nim bezwzględnie, a więc tak zespolić sprawność w uprawianiu dziedziny swej wiedzy czy sztuki ze swą osobowością, że jedna nie może istnieć bez drugiej. Odnosi się to zresztą nie tylko do autorytetu osobowego. Gdy odwołujemy się na przykład do autorytetu pisma, w szczególności Pisma Świętego, mówimy raczej, że ono jest dla nas autorytetem, niż że ma autorytet. Skłania nas do tego przesądzenie o występującym tu bezwzględnym związku, wręcz tożsamości, treści i prawdy, sensu i wartości. Jeśli coś analogicznego zachodzi w przypadku znanstwa i wartości osobowych, mądrości i jej podmiotu, mówienie o byciu autorytetem staje się w pełni uzasadnione.

Ostatni przykład pozwala nam przejść do sprawy autorytetu moralnego. Tu zespolenie wartości moralnych i osobowości musi być najściślej. Tylko ono gwarantuje autentyczność tego autorytetu i jego moc. Odkrywamy kolejny moment istotny autorytetu: szczególną siłę, wraz z którą, czy może raczej, w której on się jawi. Nie ma w niej nic z przymusu: jest w niej raczej coś z fascynacji, zniewalającej może, lecz

nie jakkolwiek przemocą, lecz jedynie mocą przykładu. Prawdziwy autorytet zawsze idzie w parze z wielkością. Uznając ją nie pomniejszamy siebie. Przeciwnie: wchodzimy niejako w jej krąg, pewni, że oto w jakimś zakresie naszych potrzeb znaleźliśmy nie tylko pewny punkt odniesienia i oparcia, ale i autentyczną pomoc, z której nam wolno korzystać. Gdy bowiem ktoś wie już, że stał się autorytetem dla innych, musi traktować to jako dar, z którym winien się dzielić. Jego istnienie przestaje być „byciem dla siebie”: przechodzi w „bycie dla”. Tego wymaga mądrość, bez której prawdziwy autorytet moralny nie jest możliwy. „Choćby zresztą był ktoś doskonały między ludźmi, jeśli mu braknie mądrości od Ciebie — za nic będzie poczytany” (Księga Mądrości, 9,6).

Czy można utracić autorytet? Czy można go podważyć? Odpowiedź musi uwzględnić różnicę między „mieć” i „być”

Główne niebezpieczeństwo dla autorytetu opartego na znanstwie pochodzi z możliwości popełnienia błędu. Niebezpieczeństwo to jest jednak nieuniknione i samo popełnienie błędu nie przekreśla jeszcze autorytetu. Przekreśla go natomiast nieprzyznanie się do błędu. Ktoś, kto tak by uczynił, sam sobie wydaje świadectwo, iż autorytetem nie jest. Autorytet traci się więc wtedy, gdy się go pragnie ocalić za cenę kłamstwa. Widać tu wyraźnie, jak ważną rzeczą jest powiązanie znanstwa z wartościami osobowymi, zwłaszcza zaś moralnymi. Niewierność tym ostatnim podważa wartość autorytetu, a nawet jest w stanie go unicestwić. Ktoś, kto tylko miał autorytet, może go utracić. Jeśli natomiast prawdą jest to, co powiedzieliśmy poprzednio o warunkowaniu bycia autorytetem przez wartości osobowe, jego utrata jest a priori niemożliwa. Przeświadczenie o bezwzględności prawdy nie dopuści do akceptacji kłamstwa. Błąd, je-

śli został popełniony, będzie ujawniony. Fakt ten nie osłabi, lecz wzmocni autorytet przyznającego się do błędu: wszak jego wykrycie świadczy o wielkości znanstwa, przyznanie się do jego popełnienia — o wielkości charakteru.

Czy to samo powiedzieć można o autorytecie moralnym? Czynnikiem destrukcyjnym jest tu popadnięcie w winę, popełnienie zła. Przyznanie się do niego może zmazać winę, wydaje się jednak, że nie jest już w stanie przywrócić autorytetu. Kto skłamał jest kłamcą, kto zdradził — zdrajcą. Nie można odwoływać się do prawdomówności kłamcy ani wierności zdrajcy. Nie można także uznać kogoś za autorytet moralny jedynie częściowo: wartości moralne warunkują się nawzajem i nigdy nie występują pojedynczo. Unicestwienie wierności przez niewierność, szlachetności przez podły czyn czy prawdomówności przez wydanie fałszywego świadectwa, pociąga za sobą zniszczenie całej struktury moralnej człowieka.

Autorytet moralny jest czymś znacznie trudniejszym niż autorytet znanstwa czy umiejętności

W dziedzinie moralności nie można mieć autorytetu: trzeba nim być. Dlatego tak irytują nas ci, co chcą mieć autorytet moralny poprzez wiedzę o moralności lub ci, co dla tych samych celów przykrywają moralność wedle własnej miary, sądząc, że jej częściowe spełnianie wystarczy, by stać się autorytetem moralnym dla innych. Jakże fałszywe to wyobrażenia! Nic nie demaskuje się samo tak szybko jak fałsz w dziedzinie wartości.

Podstawowym warunkiem autorytetu jest bycie w prawdzie. Zda się, że w tym właśnie zdaniu zawiera się cała, nie tylko mała, „fenomenologia” autorytetu.

Władysław
Stróżewski

Edukacja literacka w szkole

Roman Mazurkiewicz

Diagnoza stanu polskiej szkoły A.D. 1991 jest ambiwalentna: ekonomicznej mizerii dnia dzisiejszego (z rozlicznymi jej konsekwencjami w sferze programowej, motywacyjnej itd.) radykalnie przeciwstawia się przyszłościowa wizja edukacji na miarę Europy XXI wieku. W zamierzeniach MEN przygotowywana reforma ma doprowadzić do całkowitej zmiany dotychczasowego modelu kształcenia ogólnego. Jej podstawowe założenia to: odejście od propedeutyczno-encyklopedycznego wykształcenia na rzecz modelu bardziej „użytkowego”, umożliwiającego uczniowi zdobycie wiedzy i umiejętności niezbędnych dla harmonijnego funkcjonowania we współczesnym świecie — życia w zgodzie z samym sobą, z otoczeniem przyrodniczym, społecznym i cywilizacyjnym; zdecydowana redukcja obowiązującego

kanonu wiedzy nabywanej *ex cathedra* na rzecz pozalekcyjnych, fakultatywnych form kształcenia konkretnych umiejętności, pluralizm i konkurencja programów, otwartych i ustawicznie modernizowanych, wolny rynek podręczników, zatwierdzanych, rzecz jasna, uprzednio pod kątem realizacji niezbędnego minimum programowego.

Na gruncie edukacji polonistycznej w szkole średniej program ten już częściowo funkcjonuje; zaleca się więc: preferencję dla „czytelniczej koncepcji nauczania literatury” (głównym celem ma być kształcenie umiejętności czytania dzieł, nie zaś przekazywanie statycznej wiedzy o epoce), ściśle wiązanie tradycji ze współczesnością, interpretację utworów literackich w szerokim kontekście kulturowym, zastąpienie sztywnych szablonów interpretacyjnych

dyskretnymi sugestiami, umożliwiającymi nauczycielom i uczniom niekrepowaną ekspresję podmiotowości, uzupełnianie „białych plam” w dotychczasowej wizji literatury oraz eliminację tekstów i opracowań służących dotąd głównie jako narzędzia politycznej indoktrynacji.

Tyle program. A rzeczywistość? Na razie istnieje jeden tylko podręcznik odpowiadający z grubsza powyższym założeniom: podręcznik literatury dla klasy pierwszej szkoły średniej *Starożytność — oświecenie* opracowany wg koncepcji Bożeny Chrzastowskiej (1987). Tymczasem powszechnie wiadomo, iż to właśnie podręcznik pełni funkcję podstawowego narzędzia szkolnej edukacji literackiej. Bez nowych podręczników nie ma zatem co marzyć o wcieleniu w życie szczytnych ideałów planowanej reformy. Skąd jednak czerpać wzory, gdzie szukać kompetentnych nie tylko merytorycznie, ale i metodycznie autorów?

Ocena podręcznikowej „przeszłości”, diagnoza stanu dzisiejszego i wizja

podręcznikowej „jutra” — to trzy przewodnie motywy sesji zorganizowanej przez B. Chrzastowską w październiku 1989 roku w Poznaniu, poświęconej problematyce polonistycznej edukacji. Plonem owej imprezy jest wydany właśnie tom referatów pt. *Podręczniki literatury w szkole średniej: wczoraj — dziś — jutro* (wydawnictwo NAKOM, Poznań 1991). Idąc za tytułową sugestią, zreferuję pokrótce podstawowe ustalenia sesji w trzech perspektywach czasowych.

Podręcznikowe „wczoraj”

różnicuje się na pozytywnie ocenianą tradycję okresu międzywojennego i krytyczną (w różnym stopniu) przeszłość PRL. Okazuje się, że 20-letni okres niepodległości zmobilizował do pracy organizacyjnej dla szkoły aż 50 autorów (pośród których nie brakło staw uniwersyteckiej polonistyki), którzy opracowali w tym czasie około setki (!) podręczników dla szkół średnich, w tym wiele równoległych i konkurencyjnych. W krótkim i niezwykle trudnym okresie udało się wypracować spójny i nowoczesny model polonistycznej edukacji, odpowiadający potrzebom odrodzonego państwa, oparty na trwałych wartościach narodowych, chrześcijańskich i humanistycznych. Do największych osiągnięć w tym względzie należy zaliczyć podręczniki literatury polskiej wieku XIX opracowane przez Lucjusza Komarnickiego

„SAMOCZYNNY POWÓD”

Anna Baranowa

Henri Bergson napisał w roku 1898 zdanie, które mogłoby uchodzić za uzasadnienie dla mającej niebawem powstać sztuki abstrakcyjnej: „Sztuka (...), jeżeli znajduje bardziej skuteczne środki, chętnie obchodzi się bez naśladowania natury”. Nieprawdą jest jednak przyjęta opinia, iż abstrakcjonizm z założenia oderwał się od natury. Wystarczy poczytać pisma teoretyczne Kandinskiego, aby przekonać się, że natura, ale nie ta stworzona (*natura naturata*), lecz tworząca (*natura naturans*) pozostaje do końca bodźcem i inspiracją jego twórczości. Podobne odczucia mamy, oglądając malarstwo Jadwigi Maziarzkiej — artystki konsekwentnie wiernej abstrakcji i tym samym wiernej naturze.

Jadwiga Maziarzka od samego początku, czyli od lat tuż powojennych, związana była z grupą nowoczesnych, która w roku 1957 przekształciła się w jakże zasłużoną dla polskiego życia artystycznego „Grupę Krakowską”. Będąc zatem w czołówce artystów polskich, pozostawała jednocześnie w cieniu „wielkich” tworzących trzon „Grupy”: Kantora, Sterna, Brzozowskiego, Nowosielskiego. Nie miała również szczęścia do krytyków. Wielbiciele jej sztuki aż nadto natrętnie podkreślają, jak bardzo ta ciekawa artystka jest pomijana i niedoceniana. Faktem jest, że panowie-krytycy nieźle sobie — wzmiąwszy o Maziarzkiej — używali. Andrzej Bursa, zapuszczając się w rejony krytyki artystycznej, drwił co niemiara z jej „klimiarskich kompozycji” i „kapioteicznych tytułów” („Uśmiechamy się”). Podobne kompozycje wiszą przecież na ścianach naszych pokoi i przed świętami czyszcimy je za pomocą trzepaczek, ożywiają one mieszkania, ale nikomu z nas nie przyszłoby do głowy łączenie ich w jakąś półmetaforyczną metaforę*. Ktoś inny znowu radził, aby jej enkaustycznych reliefów nie wieszać... koło pieca, bo się roztopią. Lepsze chyba zatem milczenie krytyki niż podobne powierzchowne enuncjacje. Zresztą Maziarzkiej nie działo się znowu aż taka krzywda. Dziesiątą wystaw indywidualnych w ciągu 30 lat, liczone, również zagranicą, wystawy zbiorowe — to w końcu nie najgorszy plan. Do obrazów tych nie należy przekonywać, trzeba je zobaczyć.

Jedenastą z kolei wystawę monograficzną — być może najważniejszą ze wszystkich pozostałych — urządzono ostatnio w Pałacu Sztuki. Ten retrospektywny przegląd zawdzięcza artystyka Józefowi Chrobakowi,

wi, obecnemu dyrektorowi „Grupy Krakowskiej”, który był również przed parunastu laty współautorem innej znaczącej wystawy jej twórczości w galerii „Pawilon” w Nowej Hucie (1977/78). Chrobak ma, jak się okazuje, szczęśliwą rękę, zrobić bowiem interesującą, ba, piękną wystawę z malarstwa właściwie monotematycznego jest rzeczą nielatwą. „Jest to nie lada umiejętność zrobić zestaw złożony z kilkunastu obrazów i wywołać tak silne wrażenie” — pisała o nowohuckiej wystawie Helena Blum.

Równie silne wrażenie wywołuje ekspozycja w Pałacu Sztuki. Nie przypuszczałam, że aż tak mogą działać obrazy reprezentujące nurt, który panując nad całą nowoczesną plastyką, stał się w końcu sztywnym gorsetem, największym akademizmem w sztuce XX wieku. Moje zdumienie było podobne do tego, jakiego doznałam przed obrazami Serge'a Poliakoffa w Paryżu, z którym łączyła Maziarzka pewne pokrewieństwa: to, co na reprodukcjach wydawało się płaską układanką nieforemnych kształtów wypełnionych kolorem (takie abstrakcyjne „puzzle”), w rzeczywistości ukazywało swoją głębię, mierzącą siłę form zupełnie podstawowych i barw o natężeniu niemal mistycznym. Obrazy Maziarzkiej są w większości monochromatyczne, monotone. Skąd zatem bierze się ich siła?

Wassily Kandinsky pisał, iż warunkiem prawdy artystycznej jest „konieczność wewnętrzna”. Odpowiednikiem dla tego fundamentalnego w teorii sztuki abstrakcyjnej pojęcia mógłby być Maziarzkiej — „samoczynny powód”. Taki tytuł nosi kluczowy dla całej ekspozycji obraz artystki z roku 1950. Nie jest to obraz malowany, lecz zszywany — aplikacja z nieregularnych kawałków materiału połączonych rzadkim ściąganiem „za igłą”. Skrawki spłowiałej wełny, lnu, wytartego pluszu, futra, aksamitu tworzą przepiękny, szlachetny w doborze kolorów abstrakcyjny układ — dzieło skończono samo w sobie, a przecież o krok od oczywistości i banału. Połączenie konieczności i naturalności bliskie zajęciem potoczny i domowy. Czy to zatem impuls kobiecy stanowi o charakterze tej sztuki? Bynajmniej, jeżeli efekty jego działania sprowadzimy do robótek ręcznych. Owszem, jeżeli sięgniemy głębiej.

Wbrew temu, co mówią o kobietach, Maziarzka jako artystka stanowi wzór konsekwencji i wierności raz obranym zasadom. Zaskakujące, jak dojrzała

była jej twórczość już w momencie startu. Gdy koledzy z „Grupy Młodych Plastyków” z Kantorem na czele poszukiwali najwłaściwszych dla siebie form wypowiedzi, czerpiąc z kubizmu i surrealizmu, Maziarzka była już pełna swojego języka. Świadczy o tym arcydzieło malarstwa abstrakcyjnego *Sekrety ze wschodu*, wystawione na legendarnej I Wystawie Sztuki Nowoczesnej (w tymże Pałacu Sztuki) w roku 1948 i... przez nikogo z krytyków nie zauważone. Obraz o gęstej substancji malarskiej (malowany szpachlą) i nasyconych kolorach przywołujących barwę ziemi, gliny, piasku, bagnistej zieleni zapoczątkowuje problematykę, którą artystka będzie kontynuować w serii aplikacji — wśród nich *Samoczynny powód* — z wczesnych lat 50. Aplikacje te, powstałe w tak ponurych dla powojennej sztuki polskiej czasach, mogą być miarą niezależności artystki, dla której najpewniejszym autorytetem była zawsze ona sama — „we własnej krytycznej pokorze”. Postawę Maziarzkiej z tych lat dałoby się porównać jedynie z Jaremiąnką. Obie w osamotnieniu szukały potwierdzenia w zabronionym przez oficjalną doktrynę świecie abstrakcji, który uitożsamiały z domeną artystycznej wolności.

Rezultat swoich poszukiwań mogły zaprezentować publicznie dopiero podczas krakowskiej *Wystawy 9 malarzy* (Dom Plastyków, XI—XII 1955), pierwszego znaczącego pokazu sztuki nowoczesnej po październikowym przełomie, wystawiając razem z innymi „nieprzejednanymi” z kręgu Kantora, do których należeli również: Tadeusz Brzozowski, Kazimierz Mikulski, Jerzy Nowosielski, Erna Rosenstein, Jerzy Skarżyński i Jonasz Stern. Maziarzka pokazała wówczas obrazy inicjujące najbardziej charakterystyczny dla niej okres malarstwa materii, czy też strukturalizmu, którego stała się na polskim gruncie prekursorką i jedną z najwybitniejszych reprezentantek. Począwszy od obrazów tak dla jej dorobku klasycznych, jak *Skazy niepisanych poematów* (1954) i *Śpięcia* (1955), artystka podejmuje problem, który rozbudowywać będzie przez wiele lat w seriach reliefów enkaustycznych, zwanych przez nią „obrazami wypukłymi”. Interesuje ją „wewnętrzna struktura materii (...) skonfrontowana z materialnością rzeczywistego tworzywa”.

Krytyka uzna te obrazy za objaw programowego racjonalizmu. Da ku temu podstawy sama artystka, podkreślając wielokrotnie, iż twórczość swoją wyprowadza z odczucia „trwałości,

nieublaganej surowości praw widzących z zewnątrz i wewnątrz budowy Wszechświata”. A przecież trudno im odmówić — jak to czyniła i nadal czyni krytyka — aluzyjności, ekspresji i nastrojowości. Mimo że nie posiadają malarzkiej urody obrazów wcześniejszych, Enkaustyczne kompozycje Maziarzkiej „wypatrzone” są bowiem z jej „przestrzeni psychicznej”. Ważny jest tu czynnik iluminacji, uświadomienia sobie właśnie „konieczności wewnętrznej”. „Dla mnie jest to moment pewności, że coś odkryłam i wiem, jak to zrobić” — powie artystka. A więc znowu samoczynny powód.

Artystka chce wprowadzić zatrzeć ślad własnej ręki, wiedzona (kobieca?) uległością wobec odczuwanych jako obiektywne praw, jednakże w tych cierpliwie budowanych, rozrastających się strukturach, krystalizacjach, „skamieniałych krajobrazach” poddanych monotonnemu rytmowi wzrostu i zanikania, krzepnięcia i rozpadu jest jakaś obsesja, irracjonalizm. Jest tajemnica a nie tylko forma. Podobnie jak dla „ojców-założycieli” abstrakcjonizmu, Kandinskiego, Mondriana i Malewicza, abstrakcja jest dla Maziarzkiej sposobem rozszyfrowania ukrytej w naturze matematyki, dojścia do głębi bytu, zrozumienia jego praw. „Artysta organizuje niewidzialne, nie nazwane i niewymierne — dzięki swej kreacji transformuje to w istniejące i obiektywne”.

Ten podszyty tyleż pokorą, co artystowską pychą optymizm poznawczy w obrazach artystki z lat 80. ulega odwróceniu. Zmienia się zupełnie język jej wypowiedzi. Zamiast mozolnych, monochromatycznych struktur — białe, gipsowane płótna, które w jakimś furorze pokrywa barwnymi, zwijanymi wstęgami, pojawia się motyw jakichś kikutów, form organicznych o widocznych włóknach, wiązaniach, ale nie dokończonych, urwanych, bez przedłużenia. Artystka jakby straciła swoją cierpliwość. I to na pewno nie za sprawą mody na „dzikie” malarstwo. Spójrzmy tylko na tytuły: *Przekraczając granicę wyobraźni* (1985), *Moment równowagi światów przenikniętych niebieskim* (1986), *Spotkanie z zaprzeczeniem* (1988), *Przyjdź bliżej, pokaż swą twarz* (1988), *L'intermédiaire* (1990). Wewnętrzna reguła moralności artysty to — według Jadwigi Maziarzkiej — „nakaz postuszenia wobec impulsów twórczych. Należy im się poddać, by urzeczywistnić zawarte w nich przesłanie”. Seniorka malarstwa polskiego stawia niecierpliwie pytania o niewyobrażalne. I nie są to pytania bez odpowiedzi.

* Jadwiga Maziarzka — prace z lat 1948—1991. Komisarz wystawy Józef Chrobak, Pałac Sztuki, Kraków. Listopad 1991.

(1917) i Manfreda Kridla (1925—33), odpowiadające w dużym stopniu dzisiejszym postulatam reformatorskim (m. in. ograniczenie wykładu historyczno-literackiego na rzecz kształtowania umiejętności czytania tekstów w postaci estetycznej).

Z gruntu odmienny obraz podręcznikowego „wczoraj” przynosi analiza dorobku lat powojennych, kiedy to edukacja literacka podporządkowana została w znacznej mierze tzw. polityce oświatowej realnego socjalizmu, podręczniki zaś stały się najpowszechniejszym narzędziem indukcyjnej ideologicznej młodzieży. Szkolna historia literatury nabiera w epoce PRL znamion „wypowiadania”, fragmentaryczności; staranna selekcja materiału pod kątem takich kategorii, jak tzw. humanizm socjalistyczny, postępowość, laickość, eliminacja twórców niepokornych wobec nowej rzeczywistości, zwłaszcza emigracyjnych (jeszcze w roku 1976 absolutny monopolista PRL w zakresie szkolnej historii literatury współczesnej, Ryszard Matusewski, pomijał milczeniem takich twórców, jak Miłosz, Wierzyński, Lechoń...) tworzy w efekcie zakłamany obraz polskiej tradycji literackiej.

„Dzisiaj” podręcznikowej rzeczywistości

ocenić trudniej niż „wczoraj”. Jak píše Chrzastowska, jest ono „już swo-

bodne i wolne w życiu społecznym, w myśli pedagogicznej, ale jeszcze głęboko zanurzone w totalitarnej przeszłości”. Opinia ta dotyczy również podręczników literatury; w dzisiejszej szkole średniej wciąż funkcjonują opracowania PRL-owskie, oparte na modelu edukacji sterowanej politycznie. Rzecz jasna, ta krytyczna ocena odnosi się w różnym stopniu do poszczególnych podręczników i ich kolejnych wydań. Jedynym wśród nich wyjątkiem jest wspomniany już podręcznik literatury do klasy pierwszej, zrywający całkowicie z nieudolną tradycją, oceniany zgodnie przez nauczycieli, uczniów i fachowców jako ważny krok ku nowej polonistyce szkolnej. Choć jednak od jego pierwszego wydania minęło już kilka lat, nie pojawiły się jak dotąd kolejne tomy tak świetnie zapoczątkowanej serii.

I trudno się temu dziwić, skoro historycy i teoretycy literatury nie okazują większego zainteresowania pracą na podręcznikowej niwie, odwrotnie niż ich przedwojenni koledzy po fachu. Większość obowiązujących podręczników grzeszy również całkowitym nieprzystosowaniem językowym do zróżnicowanego przecież w rozmaitych szkołach i klasach poziomu uczniów; niemal wszystkie dorównują, a nawet przewyższają „nieczytelnością” teksty naukowe. Przyczyna tego stanu rzeczy jest banalna — podręcznik szkolny konstruowany był dotychczas jako prosta, choć zredukowana replika akade-

mickiego skryptu. Widoczne są oczywiście pewne, następujące z biegiem czasu korekty w kolejnych wydaniach, nie zaspokoja one jednak palącej potrzeby stworzenia całkiem nowych podręczników

dla szkoły polskiego i europejskiego „jutra”

Owo „jutro” istnieje już na pewno w sferze modelowych projektów (największe uznanie znajduje w tym względzie u metodyków koncepcja Zenona Urygi) i być może — miejmy przynajmniej tę nadzieję — w załączkowej postaci na warsztatach autorów. Pierwsze, choć jeszcze nie „podręcznikowe” jaskółki nowego już się pojawiają — wystarczy wymienić wydane w ciągu ostatnich miesięcy pozycje: B. Chrzastowskiej *Literatura współczesna „źle obecna” w szkole, Lekcje czytania, Eksplicacje literackie* pod red. W. Dynaka i A. W.

Labudy, czy otwierając nową serię „Biblioteki Polonistycznej” książkę S. Falkowskiego *„Szlakiery”* — inaczej. Oficyna BRICIUS z Warszawy zapowiedziała w październiku publikację książki S. Bortnowskiego *Jak uczyć poezji?* Rośnie także świadomość potrzeby pogłębionej refleksji teoretycznej nad przyszłością polskiej szkoły; oto w 1992 roku zapowiadana jest w krakowskiej WSP międzynarodowa sesja poświęcona podręcznikom literatury w szkołach średnich jako wehikułom różnych światopoglądów i ideologii (w tym także totalitarnych). Podręczniki te rozpatrywane będą przede wszystkim w perspektywie aksjologicznej, z praktycznym zorientowaniem na podręcznikową przyszłość szkoły wychowującej „dla Europy”. Byłoby to znakomite dopełnienie rezultatów sesji poznańskiej. Oby tylko owo ożywienie nie zostało wkrótce zdławione przez uwarunkowania tyleż prozaiczne, co decydujące — degradację ekonomiczną nauki i oświaty.

Ja, mniejszość

Krzysztof Lisowski

Mimo powszechnych kłopotów finansowych zostałem pod koniec listopada zaproszony na wieczór autorski do Opola. Pośredniczyła w organizacji tego przedsięwzięcia znajoma poetka, znana mi tylko z wierszy i korespondencji.

Przygotowywałem się solidnie — parę tygodni wcześniej sprawdziłem rozkład jazdy PKP i wziąłem dzień urlopu. Było umówione listownie, że spotkamy się w holu dworca, a znakiem rozpoznawczym będzie czarny spaniek.

Zapakowałem skrzętnie swe dawne i nowe liryki do torby podróżnej, udałem się na dworzec i wsiałem do pociągu relacji Kraków—Wrocław (z wagonami do Frankfurtu nad Menem). Jechałem spokojnie, na przemian drzemiąc i czytając biografię Nabokowa. Miałem dotrzeć do celu o 15.37, zatem nie było powodu do zdenerwowania, bo samo spotkanie planowane było na osiemnastą.

Jechałem w przedziale z kilkoma starszymi panami, którzy pilnie studiowali prasę codzienną, jedli jabłka, popijali mleko z butelki po coca-coli i piwo. Kiedy miałem przed sobą niecałe 15 minut jazdy, spakowałem lektury i przygotowywałem się duchowo do spotkania ze znajomą-nieznajomą poetką. Na spotkanie miał być także zaprzyjaźniony profesor, który dopiero co wrócił z Londynu.

Nagle nasz pospieszny przecież pociąg (Schnellzug) stanął na małej stacyjce Jasion (?) pod Gogolinem. I stał tak w coraz ulewniej padającym deszczu między niknącymi w mgłę choinkami. Po pierwszej półgodzinie niektórzy mężczyźni wyszli na papierosa. Wróciwszy do przedziału, zaczęli żartować i rozmawiać o polityce. Dowiedziałem się więc, że winni są Żydzi, „kacapy” jadące w sąsiednim przedziale, że nasz przedłużający się postój to robota zamieszkującej okoliczne tereny (wokół Gogolina) mniejszości niemieckiej. Jeden z pasażerów starał się zbagatelizować wspólny problem żartując, że pewnie maszynista pompuje koło, z którego uszło powietrze, inny pan o szlachetnych rysach orzekł, że posłano po podwoje do wsi. Mnie przypomnieli się „remontik” z „Przedwiośnia”.

Opadły mnie czarne myśli — nie znam adresu klubu akademickiego, w którym mam wystąpić, poetka zniechęciła się i wrócił do domu, pies zaczął wyć na dworcu z nudy i aresztują go sokiści. Liczyłem też w końcu na skromne honorarium, jakże je otrzymam, jeśli przyjadę po czasie i spotkanie się nie odbędzie?!

Po prawie dwóch godzinach ruszyliśmy przed siebie. W Opolu znalazłem się za dwadzieścia szósta. Poetka i pies wykazali świętą cierpliwość, pies był zmoknięty jak kura i groziło mu ostre przeziębienie. Zdażyliśmy go tylko zaprowadzić — w strumieniach deszczu — do domu i wytrzeć.

Na spotkanie spóźniłem się pięć minut, nie było najgorzej. Co prawda trudno o nastój, spokój wewnętrzny i bon moty, gdy się zaczyna rozprawić o literaturze „z marazu”, ale jakoś poszło. Pojawili się nawet sporo osób, także znajomy profesor z żoną. Skończyliśmy tuż przed dwudziestą, rozdalem ostatnie autografy, pobrałem honorarium, udzieliłem dziennikarce radiowej wywiadu.

Przeskakując ogromniejące katuże dotarliśmy z poetką i profesorką do ich samochodu. Jednak zapalił, dojechaliśmy do ich mieszkania blisko stacji i zaczęliśmy oglądać zdobycze z ostatniej podróży profesora do Anglii (archiwum Hemara od Władzy Majewskiej, listy Józefa Mackiewicz, których nie zna nawet Bolecki, stare roczniki „Kultury”, wycinki z prasy emigracyjnej). Zdążyliśmy coś przekąsić, zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie. Ja podpisałem obreczkom profesora moje wiersze dla dzieci, on dał mi swój „Cmentarz Łyczakowski” z serdeczną dedykacją i już trzeba było zbierać się na dworzec.

Tym razem pociąg spóźnił się o dwadzieścia minut. Wsiadłem nieco zmęczony, mając nadzieję na drzemkę po tylu emocjach. Tymczasem na każdej kolejnej stacji dosiadał się nowi pasażerowie i oto w okolicach Gogolina siedziałem już w przedziale z pięcioma Ukrainkami i trzema Ukrainkami. „Zinki” wymieniały uwagi o niepowodzeniach handlowych, mężczyźni popijali coś przepijając to czymś innym. Jako mniejszość udawałem sen, czasami tylko otwierając oko i spojglądając na siedzące naprzeciw Masze i Dasze, które — z racji proporcji przystosowanych być może do wagonów kolei radzieckich — siedziały jedynie „półgębkiem”, wszystkie w granatowych spodniach od dresu jak zespół gimnastyczek udających się na sportowe tournée.

Do konfliktów międzynarodowych nie doszło. A nawet, tak mi się zdawało, pewna Masza zaczęła mi się z zainteresowaniem przyglądać. Gdy zobaczyłem światła przedmieść Krakowa, z trudem opuściłem przedział ustępując miejsca jeszcze jednej Nadii, stojącej na korytarzu. Wsiadłem z ulgą, znalazłem się z powrotem w mojej małej, zapylonej ojczyźnie, gdzie nie byłem już chyba mniejszością.

Kolejarze prowadzili nadal swoje huczące maszyny, nie opuszczało ich dobre samopoczucie, może nawet planowali następną głodówkę.

TEATRZYK
RYSUNKOWY



ALEKSANDRA PIENKA

HYDE PARK czytelników

Drukujemy dziś dwie próby literackie BEATY HABZDY z Krakowa. Pani Beata zdaje sobie sprawę z niedociągnięć swojego wierszowania, ale widać po nadesłanym zestawie, że pilnie stara się doskonalić warsztat pisarski. Radzimy czytać dużo dobrej literatury!

XXX

Pora sjęsty
wszechogarniające błogie lenistwo
słońce
zakrada się przez liście drzewa
i laskocze po nosie
a po pięcie laskocze
spacerująca mrówka
jest jednak zbyt leniwa
by zerwać źdźbło trawy
i polaskotać leżące obok ciało
zbyt leniwe
by mnie pocałować

Przesypuję przez palce ziarenka piasku
Jestem sama dla siebie klepsydra
Czas mija
A szukanego okruszka wciąż nie ma
Chyba zbyt szeroko rozsunęłam palce

Wydawnictwo ZNAK

poleca

Norman Davies
BOŻE IGRZYSKO

Historia Polski. Tom II:
od 1795 r.
tłum. Elżbieta Tabakowska

Dalszy ciąg pasjonującej wizji dziejów Polski. Walory pisarstwa autora i jego wiedza historyczna znane są już czytelnikom z pierwszego tomu dzieła. Polskie wydanie zostało przez autora uzupełnione o rozdziały analizujące wydarzenia ostatnich lat. W aneksie fragmenty I tomu, skonfiskowane przez cenzurę w 1988 roku.

Witold Turdza odkrywa nieznane arcydzieła

W zbiorze rękopisów J. U. Niemcewicza znajdują się wiersze nieznanego autora wraz z fragmentem listu. Dowiadujemy się z niego o jakichś przeróbkach własnego poematu. Z dużym prawdopodobieństwem można powiedzieć, że jest to list Antoniego Malczewskiego, a dotyczy poematu Maria. Co prawda w innych zachowanych listach nie pisze on nic o swej twórczości. Tu jednak sprawa była wyjątkowa. Otóż w 1925 r. Maria ukazała się drukiem. Nie wzbudziła zrazu większego zainteresowania. Autor, upatrując przyczyny klęski w samym utworze, usiłował go poprawić, przerabiając niektóre fragmenty. O tym właśnie pisał do Niemcewicza, któremu dedykował poemat. Jednakże za życia Malczewski nie zdołał czy też nie chciał już wydrukować poprawionego utworu i zmiany pozostały jedynie w rękopisie. Niebawem (dwa lata po śmierci autora) zaczęto żywo interesować się Marią. Wydawano ją wielokrotnie, częściej nawet niż Pana Tadeusza. Ta niezwykła popularność sprawiła, że nikt nie przypuszczał, iż mogą istnieć inne wersje poematu, uznanego za doskonały.

Nie wiadomo dokładnie, ile zmian wprowadził Malczewski. Z całą pewnością można mówić jedynie o dwóch, tj. o początkach pieśni XV i XIX, bowiem one zachowały się. Poeta zapewne przesłał je Niemcewiczowi i stał pozostały w jego zbiorach. Jeśli nawet przeróbek było więcej — najpewniej przepadły bezpowrotnie.

Antoni Malczewski

Maria

XV

O! jaki luby ogień, jak żywo oświeca
Dotąd oblokciem smutku zasłonięte lica!
W zamęcie uczuć swoich, gdy się krząta żywo,
Czuła się Maria jakże, — ach! — jakże szczęśliwą!
Dłonie na piersi sparta oprawnej w stał skłiniąca
I głowę skłania śliczną i piersią gorącą
Tuli się do młodzieńca a jej słodkie lono
Drży pierzchliwie i plonie — tak dziewice ploną
Szczęściem, jak kiedy wpośród popiołów zagastych
Ogień rozżarzy nagle wielki, czysty, jasny:
Uniosła w górę oczy z tym wyrazem lubym,
Co w jej wiążę serca naziłi święte sżluby;
Z jakąż tkliwą ufnością w jej spojrzeniu czyta
Uroczy polysk co ją — krasi, jego — wifa!
Wszystkie czucia w tym jednym zawarła spojrzeniu,
Gdzie tęsknota z nadzieją w przejrzystym strumieniu
Leż wylanych, odmiała trosków mgły zbląkane —
I tak zawdziecza miłość, rwac niedoli tamę.

XIX

W tym wielkim i burzliwym ludzkich uczuć morzu,
Dla jednych, pewnie bując w przyjaznym przestiworu:
Pływającymi ruchy, potracani falą,
Ci od brzegów się pewnych nadto nie oddala,
Drugim — z głębiny prądy idące z łoskotem,
Biorą łódź pod objęcia, błyskawicy lotem
Miotają, wściekle szumiąc, to w tę to w tę stronę,
Porzą, pianą bryzgają, zdają się szalone;
Kogo chwyca — niewola mu zostać i — biada! —
Nie dobieje się brzegu i wszystko postrada,
Aż uleże brzemieniu i legnie jak w łożu
W tym wielkim i burzliwym ludzkich uczuć morzu.

DEKADA LITERACKA — dwutygodnik kulturalny. Wydawca: Wydawnictwo „Gazeta Krakowska”, Spółka z o.o. Adres: 31-072 Kraków, ul. Wielopole 1, IV piętro. Redaguje zespół: Leszek Elektorowicz, Krzysztof Lisowski (sekretarz), Jerzy Lohman, Włodzimierz Maciąg, Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska (redaktor odpowiedzialny), Teresa Walas, Marta Wyka. Współpracują: Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Wacław Iwaniuk (Kanada), Stanisław Lem, Leszek A. Moczulski, Tadeusz Nyczek, Leszek Polony, Stanisław Rodziński, Marek Rostworowski, Jan Józef Szczepański, Wisława Szymborska, Witold Turdza, Lucyna Walas — redaktor techniczny.

Dyżur redakcji: poniedziałki, środy, godz. 13—14, tel. 22-09-85.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo do skrótów.

ISSN 0867-4094